3 1761 08822372 2

H. Sienkiewicz

PISMA

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XIII.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S 5724

Sienkiewicz, Henryk

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XIII

LEGENDA ŻEGLARSKA
BARTEK ZWYCIĘZCA
SIELANKA
Z WRAŻEŃ WŁOSKICH

486084
17. 2. 49

Zofia Cybulska

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1900

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Сентября 1899.

LEGENDA ŻEGLARSKA

Był okręt, który zwał się »Purpura«, tak wielki i silny, że się nie bał wichrów, ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną piersią podwodne haki, na których rozbijały się inne statki — i płynął w dal, z żaglami w słońcu, tak szybko, że aż piana warczała mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

— To pyszny statek! — mówili żeglarze z innych okrętów. — Rzekłbyś: lewiatan fale porze!

A czasem pytali załogę »Purpury«:

— Hej, ludzie! dokąd jedziecie?

— Dokąd wiatr żenie! — odpowiadali majtkowie.

— Ostrożnie! tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrogę, wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej, jak burza sama:

»Wesoło płyńmy, wesoło!«

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na »Purpurze« każdy robił, co chciał.

Życie tam było ustawicznem świętem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. Niema (mówiono) takich raf, ni takich burz, któreby »Purpurę« rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze — »Purpura« popłynie dalej.

I »Purpura« płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Przechodziły lata całe — a ona nietylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwieli w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. »Purpura« sama popłynie — mówili. — Po co pracować, po co baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? po co żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek jak bóstwo — nieśmiertelny?

»Wesoło płyńmy, wesoło!«

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie upływem czasu załoga zniewieściała zupełnie, zaniedbała obowiązków, i nikt nie wiedział, że statek począł się psować. Słona woda przeżarła belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, maszty popróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić:

— Strzeżcie się! — mówili niektórzy majtkowie.

— Nic to! płyniemy z falą! — odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem, pewnego razu, wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na »Purpurę«, straszne spienione, wrzące. Dopadłszy statku, wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwaliły znów na dno. Pękły zwątlałe wiązania statku, i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie:

— »Purpura« tonie!

I »Purpura« tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała jak ją ratować!

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem chwyciwszy co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić »Purpurę«.

Wspaniała była walka tej rozpaczy ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą — ale walczyła jeszcze. Zalani, nawpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale po krótkim spoczynku, znów zrywali się do walki.

Nakoniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastała chwila głuchej rozpaczy. I poglądali na się ci żeglarze jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

— O zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. »Purpura« jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa, drgnęli ci nawpół umarli

i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli pracę od spodu.

I pracowali od rana do nocy, w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną bezczynność i zaślepienie wynagrodzić...

BARTEK ZWYCIĘZCA

I.

Bohater mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go: Bartek Wyłupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i prawdziwie homeryczna naiwność zjednały mu także przezwisko: Głupi Bartek. To ostatnie było najpopularniejsze i zapewne samo jedno tylko przejdzie do historyi, chociaż Bartek nosił jeszcze czwarte, urzędowe. Ponieważ wyrazy: człowiek i słowik nie przedstawiają dla ucha niemieckiego żadnej różnicy, a Niemcy lubią w imię cywilizacyi przekładać barbarzyńskie słowiańskie nazwy na bardziej kulturny język, przeto w swoim czasie przy spisach wojskowych odbyła się następująca rozmowa:

— Jak się nazywasz? — pytał Bartka oficer.

— Słowik.

— Szloik?... Ach! ja. Gut.

I oficer napisał: «Mensch».

Bartek pochodził ze wsi Pognębina, której to nazwy wsi jest bardzo wiele w Księstwie Poznańskiem i innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Był on, nie licząc gruntu, chałupy i pary krów, właścicielem srokatego konia i żony Magdy. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności mógł sobie żyć spokojnie i zgodnie z mądrością, zawartą w wierszu:

»Koń srokacz — żona Magda,
Co ma Bóg dać — to i tak da«.

Jakoż życie jego układało się zupełnie jak Bóg dał, i dopiero gdy Bóg dał wojnę, Bartek zafrasował się niepomału. Przyszło zawiadomienie, że trzeba się było stawić, trzeba było porzucić chałupę, grunt i zdać wszystko na babską opiekę. Ludzie w Pognębinie byli wogóle dosyć biedni. Bartek zimą, bywało, chodził do fabryki i tem sobie w gospodarstwie pomagał — teraz zaś co? Kto wie, kiedy się wojna z Francuzem skończy? Magda, gdy przeczytała kartkę powołującą, poczęła kląć:

— Ażeby ich nawidziło! żeby olśnęli... Chociażeś głupi... jednak mi cię żal; Francuzy też ci nie przepuszczą; głowę utną, albo co!...

Czuł Bartek, że kobieta sprawiedliwie mówi.

Francuzów bał się jak ognia, a przytem i jemu było żal. Co jemu Francuzi zrobili? po co on tam pójdzie i dlaczego — na tę straszną obczyznę, gdzie niema jednej duszy życzliwej? Jak się w Pognębinie siedzi, to zdaje się, ot, ni tak ni owak, jak zwyczajnie w Pognębinie; a jak każą iść, dopiero się widzi, że wszelako tu lepiej, niż gdzieindziej. Ale już nic nie pomoże — taka dola, trzeba iść. Bartek uściskał babę, potem dziesięcioletniego Franka, potem splunął, przeżegnał się i wyszedł z chałupy, a Magda za nim. Nie żegnali się zbyt czule. Ona i chłopak szlochali, on powtarzał: «No, cicho, no!« — i tak znaleźli się na drodze. Tu dopiero ujrzeli, że w całym Pognębinie działo się to samo, co u nich. Cała wieś wyległa: droga zapchana powołanymi. Idą oni do stacyi kolejowej, a baby, dzieci, starcy i psy odprowadzają ich. Powołanym ciężko na sercu; kilku tylko młodszym fajki wiszą z gęby; kilku już pijanych na początek; kilku śpiewa ochrypłymi głosami:

»Skrzyneckiego ręce i złote pierścieńce,
Już nie będą wymachiwać siablą na wojence«.

Jeden też i drugi Niemiec z pognębińskich kolonistów śpiewa ze strachu *Wacht am Rhein*. Cały ów tłum pstry i różnobarwny, wśród którego połyskują bagnety żandarmskie, posuwa się opłotkami ku końcowi wsi z krzykiem, gwarem i rwetesem. Baby trzymają swoich «żołnierzyków» za kark i lamentują; jakaś staruszka pokazuje żółty ząb i wygraża pięścią gdzieś w przestrzeń. Inna klnie: «Niech wam Pan Bóg policzy nasze płakanie»; słychać wołania: »Franku! Kaśko! Józek! bądźta zdrowi.» Psy szczekają. Dzwon na kościele dzwoni. Proboszcz sam odmawia modlitwy za konających, boć przecie nie jeden z tych, co teraz idą na stacyę, nie wróci. Wojna ich bierze wszystkich, ale wojna ich nie odda. Pługi pordzewieją na polach, bo Pognębin wypowiedział wojnę Francyi. Pognębin nie mógł zgodzić się na przewagę Napoleona III i wziął do serca sprawę o tron hiszpański. Odgłos dzwonu przeprowadza tłumy, które już wyszły z opłotków. Mijają figurę: czapki i pikielhauby lecą z głów. Kurz złoty wstaje na drodze, bo dzień jest suchy i pogodny. Po dwóch stronach drogi, zboże dojrzewające szeleści ciężkim kłosem i gnie się pod wietrzykiem, który od czasu do czasu dmucha łagodnie. W niebie błękitnem tkwią skowronki i każdy świergoce, jakby się zapamiętał.

Stacya!... Tłumy jeszcze większe. Są tu już powołani z Krzywdy Górnej, Krzywdy Dolnej, z Wywłaszczyniec, z Niedoli, Mizerowa. Ruch, gwar i zamieszanie! Ściany na stacyi oblepione manifestami. Wojna tu «w Imię Boga i Ojczyzny». Landwera pójdzie bronić swych zagrożonych rodzin, żon i dzieci, chat i pól. Francuzi widocznie szczególniej zawzięli się na Pognębin, na Krzywdę Górną, na Krzywdę Dolną, na Wywłaszczyńce, Niedolę i Mizerów. Tak przynajmniej wydaje się tym, którzy czytają afisze. Przed stacyę przybywają coraz nowe tłumy. W sali dym z fajek napełnia powietrze i przesłania afisze. W gwarze trudno się zrozumieć: wszyscy chodzą, wołają, krzyczą. Na peronie słychać komendę niemiecką, której gwałtowne słowa brzmią krótko, twardo, stanowczo.

Rozlega się dzwonek... świst! zdala słychać gwałtowny oddech lokomotywy. Coraz bliżej, wyraźniej. To wojna zdaje się przybliżać.

Drugi dzwonek! Dreszcz przebiega wszystkie piersi. Jakaś kobieta poczyna krzyczeć: «Jadom! Jadom!» Woła ona widocznie swego Adama, ale kobiety podchwytują wyraz i wołają: «Jadą!» Głos jakiś przeraźliwy nad inne dodaje: «Francuzy jadą»! — i przez jedno mgnienie oka panika ogarnia nietylko kobiety, ale i przyszłych bohaterów Sedanu. Tłum zakołysał się. Tymczasem pociąg staje przed stacyą. We wszystkich oknach widać czapki z czerwonymi lampasami i mundury. Wojska widocznie jak mrowia. Na węglarkach czernieją posępne, podługowate ciała armat; nad otwartymi wozami jeży się las bagnetów. Widocznie kazano żołnierzom śpiewać, bo cały pociąg aż dygoce od silnych głosów męskich. Jakaś siła i potęga bije od tego pociągu, którego końca nie dojrzeć.

Na peronie poczynają formować rekrutów; kto może, żegna się jeszcze. Bartek machnął łapami, jakby skrzydłami wiatraka, oczy wytrzeszczył.

— No, Magda! bywaj zdrowa!

— Oj! moje biedne chłopisko!

— Już mnie nie obaczysz więcej!

— Już cię nie obaczę więcej!

— Niema rady nijakiej!

— Niechże cię Matka Boska strzeże i chroni...

— Bądź zdrowa: chałupy pilnuj.

Kobieta uchwyciła go za szyję z płaczem.

— Niechże cię Bóg prowadzi.

Nadchodzi ostatnia chwila. Pisk, płacz i lament kobiet zagłusza wszystko: »Bądźta zdrowi! Bądźta zdrowi!« Ale owoż żołnierze są już oddzieleni od bezładnego tłumu: już tworzą czarną zbitą masę, która zwiera się w kwadraty, prostokąty i poczyna poruszać się z tą sprawnością i regularnością ruchów machiny. Komenda: »Siadać!« Kwadraty i prostokąty przełamują się w środku, wyciągają się wązkimi pasami ku wagonom i giną w ich wnętrzu. W dali lokomotywa świszcze i rzuca kłęby siwego dymu. Teraz oddycha jak smok, zionąc pod siebie strumienie pary. Lament kobiet dochodzi do najwyższego stopnia. Jedne zasłaniają oczy fartuchami, inne wyciągają ręce ku wagonom. Łkające głosy powtarzają imiona mężów i synów:

— Bądź zdrów Bartek! — woła z dołu Magda. — A nie leź tam, gdzie cię nie poślą. Niech cię Matka Boska... Bądź zdrów! O dla Boga!

— A chałupy pilnuj! — odzywa się Bartek

Korowód wagonów drgnął nagle; wozy stuknęły jedne o drugie i ruszyły.

— A pamiętaj, że masz żonę i dziecko! — wołała Magda, drepcząc za pociągiem. — Bądź zdrowy, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Bądź zdrowy...

Pociąg poruszał się coraz prędzej, wioząc wojowników z Pognębina, z obydwóch Krzywd, z Niedoli i Mizerowa.

II

W jedną stronę wraca ku Pognębinowi Magda z tłumem bab i płacze, w drugą stronę świata rwie w siwą dal pociąg, najeżony bagnetami, a w nim Bartek. Siwej dali końca nie widać. Pognębina też ledwo dojrzeć. Lipa tylko szarzeje i wieża na kościele się złoci, bo po niej słońce igra. Wkrótce i lipa rozpłynęła się, a złoty krzyż wyglądał tylko jak punkt błyszczący. Dopóki ten punkt świecił, patrzał na niego Bartek, ale gdy i on zniknął, frasunkowi chłopa nie było miary. Zdjęła go niemoc wielka, i czuł, że przepadł. Zaczął tedy patrzeć na podoficera, bo już prócz Boga nikogo więcej nie było nad nim. Co się teraz z nim stanie, to już w tem głowa kaprala; sam Bartek już nic nie wie, nic nie rozumie. Kapral siedzi na ławce i, trzymając karabin między kolanami, pali fajkę. Dym co chwila, jakby chmura, zasłania mu twarz poważną i markotną. Nietylko Bartkowe oczy patrzą na tę twarz: patrzą na nią wszystkie oczy ze wszystkich kątów wagonu. W Pognębinie lub Krzywdzie, każdy Bartek lub Wojtek jest sobie pan, każdy musi myśleć o sobie, za siebie, ale teraz od tego kapral. Każe im się patrzeć na prawo, będą patrzeć na prawo, każe na lewo, to na lewo. Każdy pyta się wzrokiem: »No? a co z nami będzie?« — on sam zaś tyle wie, ile i oni, i radby także, aby kto starszy dał mu pod tym względem jakie rozkazy lub objaśnienia. Zresztą chłopi boją się pytać wyraźnie, bo teraz jest wojna z całym aparatem sądów wojennych. Co wolno, a czego nie wolno, nie wiadomo. Przynajmniej oni nie wiedzą, a straszy ich dźwięk wyrazów takich, jak *Kriegsgericht*, których dobrze nie rozumieją, ale tembardziej się boją.

Jednocześnie czują, że ten kapral potrzebniejszy im jeszcze teraz, niż na manewrach pod Poznaniem, bo on jeden wie wszystko, on za nich myśli, a bez niego ani rusz. Tymczasem zaciężył mu widocznie karabin, bo go rzucił Bartkowi do trzymania. Bartek porwał skwapliwie za broń, dech wstrzymał, oczy wyłupił i patrzy w kaprala, jak w tęczę, ale mała mu i z tego pociecha.

Oj, coś źle słychać, bo i kapral jak z krzyża zdjęty. Na stacyach śpiewy i krzyki; kapral komenderuje, kręci się, łaje, żeby to starszym się pokazać, ale niechno pociąg ruszy, cichną wszyscy, i on cichnie. Dla niego także świat ma teraz dwie strony: jedna jasna i zrozumiała, to jego izba, żona i pierzyna; druga ciemna, ale to zupełnie ciemna, to Francya i wojna. Zapał jego, jak i zapał całej armii, chętnieby zapożyczył chodu od raka. Wojowników pognębińskich ożywiał duch tem widoczniejszy, że siedzący nie w żołnierzach, ale każdemu na ramieniu. A ponieważ każdy żołnierz dźwigał na ramionach tornister, płaszcz i inne wojskowe przybory, więc wszystkim było nader ciężko.

Tymczasem pociąg fukał, huczał i leciał w dal. Co stacya, przyczepiano nowe wagony i lokomotywy. Co stacya, widać było tylko pikielhauby, armaty, konie, bagnety piechurów i chorągiewki ułanów. Zapadał zwolna pogodny wieczór. Słońce rozlało się w wielką czerwoną zorzę, wysoko na niebie unosiły się stada drobnych lekkich obłoków, o brzegach poczerniałych od zachodu. Pociąg wreszcie przestał brać ludzi i wagony na stacyach, trząsł się tylko i leciał naprzód w ową jasność czerwoną, jakby w morze krwi. Z otwartego wagonu, w którym siedział Bartek z pognębińskimi ludźmi, widać było wsie, sioła i miasteczka, wieżyczki na kościołach, bociany poprzeginane jak haki, stojące jedną nogą na gniazdach, chałupy osobne, sady wiśniowe. Wszystko to migotało przelotem, a wszystko czerwone. Żołnierze poczęli szeptać między sobą tem śmielej, że podoficer, podłożywszy sakwy pod głowę, zasnął z porcelanową fajką w zębach. Wojciech Gwizdała, chłop z Pognębina, siedzący wedle Bartka, trącił go łokciem:

— Bartek, słuchaj-no!

Bartek zwrócił ku niemu twarz z zamyślonemi, wyłupiastemi oczyma.

— Czegoż patrzysz jak cielę, co idzie na rzeź?... — szeptał Gwizdała. — Ale ty, nieboże, idziesz na rzeź, i pewnikiem...

— Oj, oj! — jęknął Bartek.

— Boisz się? — pytał Gwizdała.

— Co się nie mam bać?...

Zorza stała się jeszcze czerwieńsza, więc Gwizdała wyciągnął ku niej rękę i szeptał dalej:

— Widzisz tę jasność? Wiesz, głupi, co to jest? To krew. Tu jest Polska, niby nasz kraj: rozumiesz? A hen tam daleko, gdzie się tak świeci, to właśnie Francya...

— A prędko zajedziewa?

— Albo ci pilno? Mówią, że okrutnie daleko. Ale nie bój się: Francuzy wyjdą naprzeciw...

Bartek zaczął pracować ciężko swoją pognębińską głową. Po chwili spytał:

— Wojtek?

— Czego?

— A na ten przykład, co to za naród te Francuzy?

Tu uczoność Wojtka ujrzała nagle przed sobą dół, w który łatwiej jej było wlecieć z głową, niż wylecieć napowrót. Wiedział, że Francuzy to są Francuzy. Słyszał coś o nich od starszych ludzi, którzy mówili o nich, że zawsze wszystkich bili; nakoniec wiedział, że to jacyś bardzo obcy ludzie. Ale jak to wytłómaczyć Bartkowi, aby i on wiedział, jak dalece obcy?

Przedewszystkiem tedy powtórzył pytanie:

— Co to za naród?

— A juści.

Trzy narody były znane Wojtkowi: w środku »Polaki«, z jednej strony »Moskale«, a z drugiej »Niemcy«. Ale Niemców były różne gatunki. Chcąc więc być jasnym więcej, niż ścisłym, rzekł:

— Co to za naród Francuzy? Jak ci powiedzieć: musi także Niemcy, tylko jeszcze gorsze...

A Bartek na to:

— O, ścierwa!

Do tej pory żywił względem Francuzów jedno tylko uczucie, to jest uczucie nieopisanego strachu. Teraz dopiero poczuł ku nim ten pruski landwerzysta wyraźniejszą patryotyczną niechęć. Jednakże nie wszystko jeszcze zrozumiał należycie i dlatego spytał znowu:

— To Niemcy będą z Niemcami wojować?

Tu Wojtek, jak drugi Sokrates, postanowił pójść drogą porównań i odparł:

— Albo to się twój Łysek z moim Burkiem nie gryzą?

Bartek otworzył usta i popatrzał chwilę na swego mistrza.

— O, prawda...

— Przecie i Austryaki Niemcy, — prawił Wojtek — a czy się nasi z nimi nie bili? Toć stary Świerszcz opowiadał, że jak był na onej wojnie, to Szteinmec krzyczał na nich: »Dalej chłopy na Niemców!« Tylko że z Francuzami nie tak łatwo!

— O la Boga!

— Francuzy nigdy żadnej wojny nie przegrały. Taki jak się do ciebie przyczepi, to się nie wykpisz, nie bój się! Każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy nasz, a brody to ci mają jak Żydy. Inszy też jest czarny, jak dyabeł. Takiego jak zobaczysz, to poleć się Bogu!

— No, to poco my do nich pójdziemy? — pyta zdesperowany Bartek.

Filozoficzna ta uwaga nie była może tak głupią, jak zdawało się Wojtkowi, który widocznie pod wpływem urzędowych natchnień, pośpieszył z odpowiedzią:

— Jabym też wolał nie iść. Ale nie pójdziemy my, to przyjdą oni. Niema rady. Czytałeś, co stało drukowane. Dycht najgorzej zawzięte na naszych chłopów. Ludzie gadają, że ony dlatego takie łakome na tutejsze grunta, bo chcieli wódkę przemycać z Królestwa, a rząd nie daje, i z tego jest wojna: no, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć — rzekł z rezygnacyą Bartek.

Wojtek mówił dalej:

— Na baby ci też łakome, jak pies na sperkę...

— A toby na ten przykład i Magdzie nie przepuścili?

— Ony i starym nie przepuszczają!

— O! — krzyknął Bartek takim tonem, jakby chciał powiedzieć: »Jeżeli tak, to będę walił!«

Jakoż wydało mu się, że tego już nadto. Wódkę niechby jeszcze sobie z Królestwa przemycali, ale do Magdy im zasie! Teraz mój Bartek jął na całą tę wojnę patrzeć ze stanowiska własnego interesu i poczuł jakąś otuchę na myśl, że tyle wojska i armat występuje w obronie zagrożonej przez bałamuctwo francuskie Magdy. Pięści mu się zacisnęły mimowolnie, i strach przed Francuzami pomieszał się w jego umyśle z nienawiścią do nich. Przyszedł do przekonania, iż niema już chyba rady, że trzeba iść. Tymczasem jasność niebieska zgasła. Ściemniło się. Wagon na nierównych relsach począł się kołysać mocno, a w takt z jego ruchami kiwały się na prawo i lewo pikielhauby i bagnety.

Upłynęła jedna godzina i druga. Z lokomotywy sypały się miliony iskier, które, jak długie złociste kresy i wężyki, krzyżowały się z sobą w ciemnościach. Bartek długo nie mógł zasnąć. Jako owe iskry po powietrzu, tak w głowie jego skakały myśli o wojnie, o Magdzie, Pognębinie, Francuzach i Niemcach. Zdawało mu się, że choćby chciał, nie mógłby się podnieść z tej ławki, na której siedział. Usnął wreszcie, ale niezdrowym półsnem. I zaraz nadleciały widziadła: ujrzał naprzód, jak jego Łysek gryzie się z Wojtkowym Burkiem, aż sierć z nich leci. On cap za kij, żeby ich pogodzić, aż nagle widzi co innego: koło Magdy siedzi Francuz czarny, jak święta ziemia, a Magda kontenta śmieje się i szczerzy zęby. Inni Francuzi kpią z Bartka i pokazują na niego palcami... To zapewne lokomotywa trajkocze, ale jemu się zdaje, że to Francuzy wołają: »Magda! Magda! Magda! Magda!« Bartek w krzyk: »Stulta pyski złodzieje! puszczajta babę!« A oni: »Magda! Magda! Magda!« Łysek i Burek szczekają, cały Pognębin woła: »Nie daj baby!« On czy skrępowany, czy co! Nie! rzucił się, targnął, powrozy pękły, Bartek Francuza za łeb — i nagle...

Nagle wstrząsa nim silny ból, jakoby gwałtownego uderzenia. Bartek budzi się i zrywa na równe nogi. Cały wagon rozbudzony, wszyscy pytają: co się stało? A to biedaczysko Bartek złapał podoficera przez sen za brodę. Teraz oto stoi wyciągnięty jak drut, dwa palce przy skroni, a podoficer macha rękoma i krzyczy jak wściekły:

— *Ach, Sie! Dummes Vieh aus der Polakei! Hau' ich den Lümmel in die Fresse, dass ihm die*

Zähne sektionenweise aus dem Maule herausfliegen werden!

Podoficer aż ochrypł ze wściekłości, a Bartek ciągle stoi z palcami przy skroni. Inni żołnierze gryzą wargi, by się nie śmiać, ale boją się, gdyż z ust podoficera padają jeszcze ostatnie strzały: *Ein polnischer Ochse! Ochse aus Podolien!* Nakoniec ucichło wszystko. Bartek usiadł napowrót na dawnem miejscu. Czuł tylko, że policzki poczynają mu jakoś nabrzmiewać, a lokomotywa jak na złość, powtarza ciągle:

— Magda! Magda! Magda!

Czuł też wielki jakiś żal...

III.

Ranek! Rozpierzchłe, blade światło oświeca twarze senne i zmęczone z niewywczasu. Na ławkach śpią w nieładzie żołnierze: jedni z głowami pospuszczanemi na piersi, drudzy z zadartemi w tył. Wstaje jutrzenka i zalewa różowością cały świat. Jest świeżo i rzeźwo. Żołnierze budzą się. Promienny ranek wydobywa z cienia i mgły jakąś nieznaną im krainę. Hej! a gdzie teraz Pognębin, gdzie Wielka i Mała Krzywda, gdzie Mizerów? To już obczyzna i wszystko inne. Naokół wzgórza porosłe dębiną, w dolinach domy kryte czerwoną dachówką, z czarnemi krzyżownicami w białych ścianach, domy piękne, jak dwory, obrosłe winem. Gdzieniegdzie kościoły o śpiczastych wieżach, gdzieniegdzie kominy fabryczne z pióropuszami różowych dymów. Tylko ciasno tu jakoś, równi brak i łanów zbożowych. Ludzi za to mrowie. Migają wsie i miasta. Pociąg, nie zatrzymując się, mija mnóstwo pomniejszych stacyi. Coś się musiało stać, bo wszędy widać tłumy. Słońce wychyla się zwolna z za wzgórz, więc jeden i drugi Maciek poczyna głośno pacierz. Za ich przykładem idą inni; pierwsze promienie kładą blask na chłopskie twarze, modlące się i poważne.

Tymczasem pociąg zatrzymuje się na głównej stacyi. Tłum ludzi otacza go natychmiast: są już wieści z placu boju. Zwycięstwo! zwycięstwo! Depesze przyszły od kilku godzin. Wszyscy oczekiwali klęsk, więc gdy zbudzono ich pomyślną wieścią, radość nie zna miary. Ludzie nawpół ubrani poopuszczali domy, łóżka i pośpieszyli na stacyę. Z niektórych dachów powiewają już chorągwie, a ze wszystkich rąk chustki. Do wagonów donoszą piwo, tytuń i cygara. Zapał jest nieopisany, twarze rozpromienione. *Wacht am Rhein* huczy ciągle jak burza. Niektórzy płaczą, inni padają sobie w objęcia. *Unser Fryc* pobił na głowę! wzięto armaty, chorągwie. W szlachetnym zapale tłumy oddają żołnierzom wszystko, co mają. Otucha wstępuje w serca żołnierzy, i zaczynają śpiewać także. Wagony drżą od mocnych męskich głosów, a tłum słucha z zadziwieniem słów niezrozumiałych pieśni. Pognębińscy śpiewają: »Bartoszu! Bartoszu! oj nie traćwa nadziei!« — *Die*

Polen! die Polen! — powtarza tłum sposobem objaśnienia i kupi się koło wagonów, podziwiając postawę żołnierza, a zarazem umacniając się w radości opowiadaniem anegdot o strasznem męstwie tych polskich pułków.

Bartek ma rozpuchłe policzki, co przy jego żółtych wąsach, wyłupiastych oczach i ogromnej kościstej postawie czyni go strasznym. Podziwiają go też jak osobliwsze zwierzę. Jakich to Niemcy mają obrońców! Ten dopiero sprawi Francuzom! Bartek uśmiecha się z zadowoleniem, bo i on jest kontent, że Francuzów pobili. Nie przyjdą już przynajmniej do Pognębina, nie zbałamucą Magdy i nie zabiorą gruntu. Uśmiecha się tedy, ale ponieważ twarz boli go mocno, więc krzywi się zarazem i naprawdę jest straszny. Je za to z apetytem homerycznego bohatera. Kiszki grochowe i kufle piwa znikają w jego ustach, jak w czeluści. Dają mu cygara, fenigi: bierze to wszystko.

— Dobry jakiś naród te Niemiaszki — mówi do Wojtka, a po chwili dodaje: — a widzisz, że Francuzów pobili!

Ale sceptyczny Wojtek rzuca cień na jego wesołość. Wojtek wróży, jak Kasandra:

— Francuzy zawdy naprzód dają się pobić, żeby zbałamucić, a potem jak się wezmą, aż wióry lecą!

Wojtek nie wie o tem, że zdanie jego podziela większa część Europy, a jeszcze mniej o tem, że cała Europa myli się z nim razem.

Jadą dalej. Wszystkie domy, jak okiem sięgnąć, pokryte chorągwiami. Na niektórych stacyach zatrzymują się dłużej, bo wszędy pełno pociągów. Wojsko ze wszystkich stron Niemiec śpieszy wzmocnić zwycięskich współbraci. Pociągi poubierane w zielone wieńce. Ułani zatykają na lance bukiety kwiatów, darowywane im po drodze. Między tymi ułanami większość także Polaków. Nieraz słychać z wagonu do wagonu rozmowy i nawoływania:

— Jak się mata, chłopy! a gdzie Pan Bóg prowadzi?

Czasem z przelatującego po sąsiednich relsach pociągu zaleci znajoma piosnka:

Z tamtej strony Sandomierza
Mówi panna do żołnierza…

A wtedy Bartek i jego kamraci podchwytują w lot:

— Panie żołnierz, chodź pokochać.
— Jeszczem nie jadł, Bóg ci zapłać!

O ile z Pognębina wszyscy wyjechali smutni, o tyle teraz pełni są zapału i ducha. Pierwszy pociąg z pierwszymi rannymi, przybywający z Francyi, psuje jednak to dobre usposobienie. Staje on w Deutz i stoi długo, by przepuścić te, które śpieszą na plac boju. Ale nim wszystkie przejdą przez most do Kolonii, potrzeba kilku godzin czasu. Bartek leci razem z innymi oglądać chorych i rannych. Niektórzy leżą w zamkniętych, inni dla braku miejsca w otwartych wagonach, i tych można widzieć dobrze. Po pierwszem spojrzeniu duch bohaterski Bartka ulatuje znowu na ramię.

— Chodźże tu, Wojtek! — woła z przerażeniem: — widzisz ino, ile te Francuzy napsowały narodu!

I jest na co patrzeć! Twarze blade, zmęczone; niektóre zczerniałe od prochu, lub bólu, powalane krwią. Na odgłosy ogólnej radości, ci odpowiadają tylko jękami. Niektórzy klną wojnę, Francuzów i Niemców. Usta spieczone i zczerniałe wołają co chwila wody; oczy poglądają jak błędne. Tu i owdzie między rannymi widać zesztywniałą twarz konającego, czasem spokojną z błękitnymi sińcami naokół oczu, czasem wykrzywioną przez konwulsye, z przerażonemi oczyma i wytrzeszczonymi zębami. Bartek po raz pierwszy widzi krwawe owoce wojny.

W głowie jego znów powstaje zamęt, patrzy jak odurzony i stoi w tłoku z otwartemi ustami; popychają go na wszystkie strony; żandarm daje mu kolbą w kark. On szuka oczyma Wojtka, odnajduje go i mówi:

— Wojtek, bój się Boga! o!

— Będzie tak i z tobą.

— Jezus Marya! I to się ludziska tak mordują! Toć jak chłop chłopa pobije, to go żandarmy biorą do sądu i karzą!

— No, a teraz ten lepszy, kto więcej ludzisków napsuje. Cóżeś głupi myślał, że będziesz prochem strzelał, jak na manewrach, alboli też do tarczy, nie do ludzi?

Tu okazała się widocznie różnica między teoryą a praktyką. Nasz Bartek był przecie żołnierzem, chodził na manewry i musztry, strzelał, wiedział, że wojna od tego, by się zabijać, a teraz, jak zobaczył krew rannych, nędzę wojny, zrobiło mu się tak jakoś niedobrze i ckliwo, że ledwie się mógł na nogach utrzymać. Nabrał znów uszanowania dla Francuzów, które zmniejszyło się dopiero wtedy, gdy przejechali z Deutz do Kolonii. Na centralnym banhofie ujrzeli po raz pierwszy jeńców. Otaczało ich mnóstwo żołnierzy i ludu, który patrzał na nich z dumą, ale jeszcze bez nienawiści. Bartek przedarł się przez tłum, rozpychając go łokciami, spojrzał na wagon i zdziwił się.

Gromada francuskich piechurów w podartych płaszczach, małych, brudnych, wynędzniałych, napełniała wagon jak śledzie beczkę. Wielu z nich wyciągało ręce po szczupłe datki, jakimi obdzielał ich tłum, o ile straże nie stawiały przeszkody. Bartek, wedle tego co słyszał od Wojtka, zgoła inne o Francuzach miał wyobrażenie. Duch z ramienia wstąpił mu napowrót w piersi. Obejrzał się, czy Wojtka niema. Wojtek stał obok.

— Cóżeś gadał? — pyta Bartek: — dyć to chmyzy! Jakbym jednego bez łeb lunął, toby się ze czterech wywróciło.

— Musi jakoś zmarnieli — odrzekł również rozczarowany Wojtek.

— Po jakiemu oni szwargocą?

— Juści nie po polsku.

Uspokojony pod tym względem, Bartek poszedł dalej wzdłuż wagonów.

— Straszne kapcany! — rzekł, skończywszy przegląd wojsk liniowych.

Ale w następnych wagonach siedzieli żuawi. Ci więcej dali Bartkowi do myślenia. Z powodu, że siedzieli w wagonach krytych nie można było sprawdzić, czy każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy zwyczajny człowiek, ale przez okna widać było długie brody i marsowate, poważne twarze starych żołnierzy o ciemnej cerze i błyszczących groźnie oczach. Duch Bartka znowu skierował się ku ramionom.

— Te straszniejsze — szepnął cicho, jakby się bał, by go nie słyszeli.

— Jeszcześ nie widział tych, co się nie dali wziąć — odparł Wojtek.

— Bójże się Boga!

— Obaczysz.

Napatrzywszy się żuawom, poszli dalej. Zaraz przy następnym wagonie Bartek rzucił się w tył jak oparzony.

— O, rety! Wojtek, ratuj!

W otwartem oknie widać było ciemną, prawie czarną twarz turkosa z przewróconemi białkami oczu. Musiał być ranny, bo twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

— A co? — rzecze Wojtek.

— To złe, nie żołnierz... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

— Spojrzyj ino, jakie on ma zębiska.

— A niech go wciornaści! ja tam nie będę na niego patrzał.

Bartek umilkł, po chwili jednak spytał:

— Wojtek!

— Czego?

— A żeby takiego przeżegnać, czyby nie pomogło?

— Pogany na świętą wiarę nie mają wyrozumienia.

Dano znak do siadania. Po chwili pociąg ruszył. Gdy ściemniło się, Bartek widział ciągle przed sobą czarną twarz turkosa i straszne białka jego oczu. Z uczuć, które w tej chwili ożywiały tego pognębińskiego wojownika, niewiele możnaby wywróżyć o jego przyszłych czynach.

IV.

Bliższy udział w walnej rozprawie pod Gravelotte początkowo przekonał Bartka tylko o tem, że w bitwie jest się na co gapić, a niema co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu, i jego pułkowi z karabinem u nóg, u stóp wzgórza pokrytego winogradem. Zdala grały armaty, zblizka przelatywały pułki konne z tętentem, od którego się ziemia trzęsła; migotały to chorągiewki, to kirasyerskie miecze. Nad wzgórzem po błękitnem niebie przelatywały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potem dym napełnił powietrze i zasłonił horyzont. Zdawało się, że bitwa, jak burza, przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło Bartkowego pułku. Poczęły koło niego stawać inne pułki, a w przerwy pomiędzy nimi nadbiegały, co koń wyskoczy, armaty, które wyprzęgano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórzu. Cała dolina napełniła się wojskiem. Teraz na wszystkie strony grzmią komendy, latają adjutanci. A nasi szeregowcy szepcą sobie do ucha: «Oj! będziesz nam, będzie!» — lub pytają jeden drugiego z niepokojem: «Czy to już się zacznie?» — «Zapewne już». Oto zbliża się niepewność, zagadka, może śmierć... W dymie, który zasłania wzgórza, wre coś i kotłuje się strasznie. Słychać coraz bliżej basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Zdała dochodzi jakby niewyraźny jakiś trzask: to kartaczownice już słychać. Nagle, jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed Bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w tej chmurce coś syczy, śmieje się, zgrzyta, rży i wyje. Chłopi wołają: «Granat! granat!» Tymczasem pędzi ten ptak wojny, jak wicher, zbliża się, spada, pęka! Huk straszny rozdarł uszy, łoskot jakby się świat walił, i pęd jakby od uderzenia wiatru. Zamieszanie powstaje w szeregach, stojących w pobliżu armat, rozlega się krzyk i komenda: «Szlusuj!» Bartek stoi w pierwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie klapią. Nie wolno drgnąć, nie wolno strzelać. Stać! Czekać!

Aż tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty... Wicher zwiewa dym ze wzgórza. Francuzi już spędzili z niego baterye pruskie, już postawili swoje i teraz zieją ogniem na dolinę. Co chwila z gęstwy winogradu wyskakują długie, białe rzuty dymu. Piechota pod zasłoną armat zstępuje coraz niżej, by rozpocząć ręczny ogień. Są już w połowie wzgórza. Teraz widać ich doskonale, bo wiatr odrzuca dymy. Czy winograd zakwitł makiem? Nie, to czerwone czapki piechurów. Naraz nikną między wysoką łoziną winną, nie widać ich; gdzieniegdzie tylko wieją trójkolorowe chorągwie. Ogień karabinowy rozpoczyna się szybki, gorączkowy, nieregularny, wybuchający nagle w coraz innych miejscach. Nad tym ogniem wyją ciągle granaty i krzyżują się w powietrzu. Na wzgórzu czasem wybuchną okrzyki, którym z dołu odpowiada niemieckie: «hurra!» Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pułk stoi niewzruszony.

Sfera ognia poczyna go jednak z kolei obejmować. Kule bzykają niby muchy, niby bąki zdaleka, lub przelatują ze strasznym świstem w pobliżu. Coraz ich więcej: oto świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach. Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk: «Jezu!» potem: «Szlusuj!» znów: «Jezu!» — «Szlusuj!» Wreszcie jęk już nieprzerwany, komenda coraz śpieszniejsza, szeregi ściskają się, świst coraz częstszy, nieustający, okropny. Zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

— Boisz się? — pyta Wojtek.

— Co się nie mam bać?... — odpowiada nasz bohater, szczękając zębami.

A jednak stoją obaj, i Bartek, i Wojtek, i nawet do głowy im nie przychodzi, że możnaby zemknąć. Kazali im stać i kwita! Bartek kłamie. Nie boi on się tak, jakby tysiące innych bało się na jego miejscu. Dyscyplina panuje nad jego wyobraźnią, a wyobraźnia nie maluje mu nawet tak okropnem położenia, jak ono jest. Bartek jednak sądzi, że go zabiją, i powierza tę myśl Wojtkowi.

— Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją! — odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspokajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w niebie nie zrobi? Uspokojony pod tym względem, stoi cierpliwiej, czuje tylko okropne gorąco i pot zlewa mu twarz. Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych niema już kto wyciągać. Chrapanie konających miesza się ze świstem pocisków i hukiem wystrzałów. Po ruchu trójbarwnych chorągwi widać, że ukryte w winnicy piechury zbliżają się coraz bardziej. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczyna ogarniać rozpacz.

Ale w odgłosach tej rozpaczy czuć pomruk zniecierpliwienia i wściekłości. Gdyby kazano im iść naprzód, poszliby jak burza. Nie mogą tylko ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całą siłą o ziemię i mówi:

— Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje znów na te słowa tak znakomitej ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. Jest to filozofia chłopska, lepsza od każdej innej, skoro dodaje otuchy. Bartek zresztą wiedział, że raz kozie śmierć, ale miło mu to było usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza że bitwa zaczęła się zmieniać w pogrom. Oto pułk, nie wystrzeliwszy ani razu, jest już do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają koło niego w nieładzie; tylko ci chłopi z Pognębina, Krzywdy Wielkiej, Krzywdy Małej i Mizerowa, trzymani żelazną pruską dyscypliną, stoją jeszcze. Ale i w ich szeregach czuć już pewne wahanie się. Za chwilę pękną karby dyscypliny. Ziemia pod ich nogami staje się już miękka i ślizka od krwi, której surowy zapach miesza się z wonią dymu. W niektórych miejscach szeregi nie mogą się zewrzeć, bo trupy czynią w nich przerwy. U nóg tych ludzi, którzy jeszcze stoją, druga połowa leży we krwi, w jękach, w konwulsyach, w konaniu, lub w ciszy śmierci. Oddechom braknie powietrza. W szeregach powstaje szmer.

— Na rzeź nas przywiedli!

— Nikt nie wyjdzie!

— *Still, polnisches Vieh!* — odzywa się głos oficera.

-- Dobrze ci za moim kołnierzem...

— *Steht der Kerl da!*

Nagle jakiś głos poczyna mówić:

— Pod Twoją obronę...

Bartek podchwytuje natychmiast:

— Uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!

I wkrótce chór polskich głosów na tem polu zagłady woła oto do Patronki Częstochowskiej:

«Naszemi prośbami nie racz gardzić!» A z pod nóg wtórują im jęki: «O Maryo, Maryo!» I wysłuchała ich widocznie, bo w tej chwili na spienionym koniu przybiega adjutant, rozlega się komenda: «Do ataku broń! hurra, naprzód!». Grzebień bagnetów pochyła się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzedz oczy. Wszelako od stóp wzgórza dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków, i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem... Czy nie wyginą do reszty? czy się nie cofną? Wyginąć mogą, ale się nie cofną, bo komenda pruska wie, na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu i zamieszania i jęków, głośniejszym nad wszystkie trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich piersiach: «Hurra!» odpowiadają Maćki. «Póki my żyjemy!» Ogarnia ich zapał, płomień bije im na twarze. Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Giną, ale idą z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca winnicy, nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi, czasem błyśnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuskich wystrzałów stają się śpieszniejsze, jeszcze śpieszniejsze, gorączkowe i nagle...

Nagle milkną.

Tam na dole stary wilk wojny, Steinmetz, zapala porcelanową fajkę i mówi z akcentem zadowolenia:

— Im tylko to grać! Doszli zuchy!

Jakoż po chwili jeden z dumnie powiewających trójbarwnych sztandarów podskakuje w górę, pochyla się i niknie...

— Nie żartują! — mówi Steinmetz.

Trąby grają znowu ten sam hymn. Drugi pułk poznański idzie w pomoc pierwszemu.

W gęstwinie wre bitwa na bagnety.

Teraz, Muzo, śpiewaj mojego Bartka, aby potomność wiedziała co czynił. Oto i w jego sercu strach, niecierpliwość, rozpacz zlały się w jedno uczucie wściekłości; a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, z oczu skry poszły. Zapomniał o świecie, o tem, że «raz kozie śmierć», i chwyciwszy w potężne łapy karabin, skoczył z innymi naprzód. Dobiegłszy wzgórza, przewrócił się z dziesięć razy na ziemię, stłukł sobie nos, powalał się ziemią i krwią, która mu z nosa pociekła, i biegł naprzód, wściekły, zziajany, chwytając w otwarte usta powietrze. Wytrzeszczał oczy, by w gęstwinie zobaczyć jak najprędzej jakiegoś Francuza, i dojrzał ich wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli to turkosy. Ale czy myślicie, że Bartek się cofnął? Nie! onby teraz samego Lucypera brał za rogi! Dopadł już do nich, i oni z wyciem rzucili się ku niemu; dwa bagnety, jak dwa żądła, już, już tykają jego piersi, a mój Bartek jak złapie za karabin z cienkiego końca, niby klonicę, jak machnie, jak poprawi... Wrzask tylko odpowiedział mu straszny, jęk — i dwa czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi.

W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszów. Bartek, jak furya, rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia — błysnęło, huknęło, i jednocześnie w kłębach dymu zagrzmiał chrapliwy ryk Bartka:

— Chybiliśta!

I znów karabin w jego ręku zatoczył łuk straszliwy, znów jęki odpowiedziały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego ze wściekłości olbrzyma, i czy się

Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość, że wyraźnie mu się zdawało, iż z ich szerokich warg wychodzi krzyk:

— «Magda! Magda!»

— Magdy wam się chce! — zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu na pomoc. Wśród gęstwiny winogradu zawiązała się bitwa ściśniona i tłumna, której wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał, jak burza. Osmalony dymem, oblany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, nie pamiętny na nic, każdem uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalał głowy. Ręce jego poruszały się straszną szybkością machiny, siejącej zniszczenie. Dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zacharczał, i ręce jego puściły drzewiec.

— Hurra! — krzyknął Bartek, i podniósłszy chorągiew, zakołysał nią w powietrzu.

Ten to wznoszony i upadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugiem — Bartek tą samą chorągwią strzaskał już jakąś głowę nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli już naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar, schował go w zanadrze, i schwyciwszy w obie ręce drzewce, rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów, wyjąc nieludzkimi głosami, uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki, krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnetami.

Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra! — krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W tej chwili też drugi pułk poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwiane drzewce w potężnych łapach Bartka zmieniło się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ścieśnionych szeregach francuskich. Przerażenie też zaczęło ogarniać żuawów i turkosów. W miejscu, w którem walczył Bartek, pierzchali. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie, jak na pognębińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzedz go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalił chorążego z chorągwią.

— Hurra, Bartek! — powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartaczownice. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Bartek zdobył jednak w pogoni trzecią jeszcze chorągiew.

Trzeba go było widzieć, gdy zmęczony, oblany potem i krwią, sapiąc jak miech kowalski, zstępował teraz razem z innymi ze wzgórza, dźwigając na ramionach trzy chorągwie. Francuzi! hej! co on sobie z nich robił! Obok niego szedł podrapany i pokiereszowany Wojtek, więc Bartek do niego:

— Cóżeś gadał? Toć to robactwo: siły w kościach nijakiej nie ma. Podrapały ta mnie i ciebie, jak kociaki, ale i tyla. A com którego lunął, to ci o ziemię...

— Kto cię wiedział, żeś taki zawzięty! — odparł Wojtek, który widział czyny Bartka i począł patrzeć na niego zgoła innemi oczyma.

Ale któż tych czynów nie widział? Historya, cały pułk i większość oficerów. Wszyscy spoglądali teraz na tego olbrzymiego chłopa, o rzadkich płowych wąsach i wyłupiastych oczach z podziwem. — *Ach! Sie verfluchter Polake!* — powiedział mu sam major i pociągnął go za ucho, a Bartek aż mu trzonowe zęby pokazał z radości Gdy pułk znów stanął u stóp wzgórza, major pokazał go pułkownikowi, a pułkownik samemu Steinmetzowi.

Ten obejrzał sztandary i kazał je zabrać, poczem począł oglądać Bartka. Mój Bartek stoi znów wyciągnięty jak struna i prezentuje broń, a stary generał patrzy na niego i kręci głową z zadowoleniem. Nakoniec zaczyna coś mówić do pułkownika. Słychać wyraźnie słowo: *Unteroffizier.*

– *Zu dumm, Excellenz!* — odpowiada major.

— Spróbujmy — mówi Jego Ekscelencya, i zwracając konia, zbliża się do Bartka.

Bartek sam już nie wie, co się z nim dzieje. Rzecz niesłychana w pruskiej armii: generał będzie rozmawiał z szeregowcem! Jego Ekscelencyi przyjdzie to tem łatwiej, że umie po polsku. Zresztą szeregowiec ten zdobył trzy sztandary i dwie armaty.

— Skąd jesteś? — pyta generał.

— Z Pognębina — odpowiada Bartek.

— Dobrze. Imię twoje?

— Bartek Słowik.

— Mensch... — tłómaczy major.

— Mens! — powtarza Bartek.

— Wiesz, za co bijesz Francuzów?

— Wiem, Celencyjo...

— Powiedz!

Bartek zaczyna się jąkać: «Bo... bo...» Nagle słowa Wojtka przychodzą mu szczęśliwie na pamięć, wybucha więc prędko, by nie przekręcić:

— Bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorsze!

Twarz starej Ekscelencyi zaczyna tak drgać, jakby Jego Ekscelencya miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Po chwili jednak jego Ekscelencya zwraca się do majora i mówi:

— Miałeś pan słuszność.

Mój Bartek, kontent z siebie, stoi ciągle jak struna.

— Kto wygrał dziś bitwę? — pyta znowu generał.

— Ja, Celencyjo! — odpowiada bez wahania Bartek.

Twarz Ekscelencyi poczyna znów drgać.

— Tak, tak, ty! A oto masz nagrodę...

Tu stary wojownik odpina krzyż żelazny z własnej piersi, następnie schyla się i przypina go Bartkowi. Dobry humor generała drogą zupełnie naturalną odbija się na twarzach pułkownika, majorów, kapitanów aż do podoficerów. Po odjeździe generała, pułkownik daje ze swej strony Bartkowi dziesięć talarów, major pięć i tak dalej. Wszyscy powtarzają mu, śmiejąc się, że wygrał bitwę, skutkiem czego Bartek jest w siódmem niebie.

Dziwna rzecz. Jeden tylko Wojtek niebardzo jest z naszego bohatera zadowolony.

Wieczorem, gdy zasiedli obaj przy ognisku, i gdy szlachetna twarz Bartka zapchana była kiszką grochową tak dokładnie, jak sama kiszka grochem, Wojtek ozwał się tonem rezygnacyi:

— Oj ty Bartek, głupi jesteś, bo głupi...

— Albo co? — mówi przez kiszkę Bartek.

— Cóżeś ty, człeku, nagadał generałowi o Francuzach, że ony Miemcy?

— A sameś prawił...

— Ale trzeba ci było zmiarkować, że generał i oficery też Miemcy.

— To i co z tego?

Wojtek począł się jakoś jąkać...

— To, że choć ony Miemcy, ale nie trzeba im tego mówić, boć to zawdy nieładnie...

— Toć ja na Francuzów powiedziałem, nie na nich...

— Ej, kiedy bo to...

Wojtek uciął nagle, widocznie sam chciał także co innego powiedzieć; chciał oto wytłómaczyć Bartkowi, że przy Niemcach nie należy źle mówić o Niemcach, ale jakoś mu się język poplątał!...

V.

W jakiś czas potem królewsko-pruska poczta przywiozła do Pognębina list następujący:

«Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego święta Rodzicielka! Najukochańsza Magdo! Co u ciebie słychać? Dobrze ci w chałupie pod pierzyną, a ja tu wojuję okrutnie. Byliśma koło wielkiej fortecy Miecu i była bitwa i takemci Francuzów sprał, że się cała infanterya i artylerya dziwowały. I sam jenerał się dziwował i powiedział, żem batalię wygrał i dał mnie krzyż. A teraz to ci mnie i oficery i unteroficery bardzo szanują i po pysku mało co biją. Potem pomaszerowaliśma dalej, i była druga batalia, jeno zabaczyłem, jak się to miasto nazywa, i teżem prał i czwarty sztandar wziąłem, a jednego największego pułkownika od kirasyerów tom przetrącił i do niewoli zabrałem. A jak będą nasze pułki odsyłać do domu, to mi unteroficer radził, żebym napisał »reklamacyą« i ostał się, bo na wojnie tylko spać gdzie niema, ale żreć ile wytrzymasz, i wino w tym kraju jest wszędzie, bo naród bogaty. Jakeśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom i babom nie przepuścili, i ja też. Kościół ci się spalił do cna, bo ony są katoliki, i ludzi się popiekło niemało. Idziema teraz na samego cesarza, i będzie koniec wojny, a ty pilnuj chałupy i Franka, bo niechbyś nie pilnowała, tobym ci chyba giry poprzetrącał, żebyś wiedziała, com za jeden. Bogu cię polecam.

Bartłomiej Słowik«.

Bartek widocznie zasmakował w wojnie i począł patrzeć na nią, jak na właściwe sobie rzemiosło. Nabrał wielkiej ufności w siebie i do bitwy teraz szedł, jakby się zabierał do jakiej roboty w Pognębinie. Na piersi jego po każdej rozprawie leciały medale i krzyże, a choć podoficerem nie został, powszechnie miano go za pierwszego szeregowca w pułku. Był zawsze karny, jak dawniej, i posiadał ślepe męstwo człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Męstwo to nie płynęło już tak, jak w pierwszych chwilach ze wściekłości. Teraz źródłem jego była praktyka żołnierska i wiara w siebie. Przytem olbrzymie jego siły wytrzymywały wszelkie trudy, pochody i niewczasy. Ludzie marnieli obok niego, on jeden trwał niepożycie, tylko dziczał coraz bardziej i stawał się coraz sroższym pruskim żołdakiem. Począł on teraz nietylko bić Francuzów, ale i nienawidzieć ich. Pozmieniały się też i inne jego pojęcia. Stał się żołnierzem-patryotą i uwielbiał ślepo swoich przywódców. W następnym liście pisał do Magdy:

«Wojtka na dwoje rozerwało, ale od tego jest wojna, rozumiesz? On też był kiep, bo powiadał, że Francuzy to Niemcy, a ony są Francuzy, a Niemcy to nasi«.

Magda w odpowiedzi na obydwa listy nawymyślała mu, co wlazło:

»Najukochańszy Bartku, pisała, przed ołtarzem świętym mi poślubiony! Ażeby cię Bóg pokarał! Tyś sam kiep, poganinie, kiedy naród katolicki na wspólkę z kasztanami mordujesz. To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty, katolik, im pomagasz! Chce ci się wojny, wałkoniu, bo możesz nic nie robić, jeno się bić, pić i innych poniewierać, i nie pościć, i kościoły palić. A bodaj ciebie w piekle za to palili, że się jeszcze tem chwalisz i ni na starych, ni na dzieci nie masz wyrozumienia. Pamiętaj, baranie, na to, co w świętej wierze jest pisane złotemi literami od początku świata do dnia sądu ostatecznego dla polskiego narodu, w którym dniu Bóg najwyższy nie będzie miał dla takich capów wyrozumienia, i pohamuj się, Turku jeden, żebym ci tego twojego łba nie rozbiła. Pięć talarów ci posyłam, choć mi tu bieda, bo sobie rady dać nie mogę, i gospodarstwo się marnuje. Ściskam cię, najukochańszy Bartku. *Magda*«.

Morały, w liście tym zawarte, małe na Bartku zrobiły wrażenie: »Baba służby nie rozumie, myślał sobie, a wtrąca się«. I wojował po staremu. Odznaczał się w każdej niemal bitwie, tak, że w końcu padły nań oczy jeszcze od Steinmecowych dostojniejsze. Nakoniec gdy zniszczone pułki poznańskie odesłano w głąb Niemiec, on za radą podoficera podał »reklamacyą« i został. Skutkiem tego znalazł się pod Paryżem.

Listy jego pełne były teraz lekceważenia dla Francuzów. »W każdej bitwie tak ci ździerają jak zające«, — pisał do Magdy. I pisał prawdę. Ale oblężenie niezbyt przypadło mu do smaku. Pod Paryżem trzeba było leżeć po całych dniach w podkopach i słuchać huku dział, częstokroć sypać szańce i moknąć. Przytem żal mu było swego dawnego pułku. W tym, do którego przeniesiono go teraz, jako ochotnika, otaczali go po większej części Niemcy. Po niemiecku umiał on trochę, bo się jeszcze w fabryce nieco podueczył, ale tak sobie, piąte przez dziesiąte. Teraz począł się wprawiać szybko. Nazywano go jednak w pułku *ein polnischer Ochs,* i tylko jego krzyże i straszliwe pięści zasłaniały go przed dotkliwymi żartami. Wszelako po kilku bitwach zyskał sobie szacunek u nowych towarzyszów i począł się z nimi zżywać powoli. W końcu uważano go za jednego ze swoich, ile że cały pułk okrył sławą. Bartek poczytywałby sobie zawsze za obelgę, gdyby go kto nazwał Niemcem, ale za to sam siebie, w przeciwstawieniu do Francuzów, nazywał *ein Deutscher.* Zdawało mu się, że to zupełnie co innego, a przytem nie chciał uchodzić za gorszego niż inni. Zaszedł wszelako wypadek, który dałby mu wiele do myślenia, gdyby myślenie wogóle było łatwiejsze dla tego bohaterskiego umysłu. Oto pewnego razu kilka kompanii jego pułku wykomenderowano przeciw wolnym strzelcom, zrobiono na nich zasadzkę, i strzelcy w nią wpadli. Ale tym razem Bartek nie ujrzał czerwonych czapek, pierzchających po pierwszych strzałach, oddział bowiem składał się ze starych żołnierzy, rozbitków jakiegoś pułku legii zagranicznej. Otoczeni, bronili się zacięcie, a wreszcie rzucili się, by bagnetem utorować sobie drogę przez opasujący krąg pruskiego żołdactwa. Bronili się z taką zaciętością, że część ich przebiła się przez wojska, szczególniej zaś nie dawali się brać żywcem, wiedząc, jaki los czeka pochwyconych wolnych strzelców. Kompania, w której służył Bartek, pochwyciła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Nazajutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitem oknem, razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z jeńców był to człowiek niemłody, z siwiejącymi wąsami i twarzą obojętną na wszystko; drugi wyglądał na dwadzieścia kilka lat: jasne wąsy zaledwie sypały mu się na twarzy, podobniejszej do twarzy panny, niż żołnierza.

— Ot i koniec — rzekł po chwili młodszy: — kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadźwięczał mu w ręku: młody chłopak mówił po polsku...

— Mnie tam już wszystko jedno, — odrzekł zniechęconym głosem drugi — dalibóg, wszystko jedno. Nateralem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiej...

— Słuchaj-no — mówił dalej stary, — niema rady. Jeśli się boisz, to myśl o czem innem, albo się połóż spać. Życie jest podłe! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

— Matki mi żal! — odparł głucho młodszy.

I widocznie chcąc stłumić wzruszenie, lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

— Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

— Toś uciekł z domu?

— Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiej.

— I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś z cicha, ale resztę jego słów zgłuszył szum wiatru. Noc była zimna. Drobny deszcz zacinał od czasu do czasu falami, poblizki las czarny był jak kir. W izbie wicher świstał po kątach i wył w kominie jak pies. Lampa, umieszczona wysoko nad oknem, aby jej wiatr nie zgasił, rzucała sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiej, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działy się dziwne rzeczy. Z początku ogarnęło go zdziwienie, i wytrzeszczał na jeńców oczy i starał się zrozumieć co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiej, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiej! I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on biedak ma o tem myśleć? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go coś za gardło. I co on im powie? czy ich wyratuje? To i jego rostrzelają! Hej, rety! co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pognębina. Nieznany gość w żołdackiem sercu, litość, krzyczy mu w duszy: «Bartku! ratuj swoich, to swoi!» — a serce wyrywa się do domu, do Magdy, do Pognębina, i tak się rwie, jak nigdy przedtem. Dosyć mu tej Francyi, tej wojny i bitew! Coraz wyraźniej słyszy głos: «Bartku, ratuj swoich!» Ażeby ta wojna pod ziemię się zapadła! Przez wybite okno czernieje las i szumi jako pognębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu:

«Bartku, ratuj swoich!»

Cóż on zrobi?

Ucieknie z nimi do lasu, czy co? Wszystko, co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, odrazu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On, żołnierz, ma dezerterować? Nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniej i wicher świszcze coraz żałośniej.

Starszy jeniec odzywa się nagle:

— A to wiatr, jakby jesienią u nas...

— Daj mi pokój... — rzecze pognębionym głosem młodszy.

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

— U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstem, i jeńcy leżą znów cicho...

Bartka poczyna febra trząść...

Najgorzej, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdawało, jakby co ukradł i jakby się bał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin cięży mu strasznie i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą, czy za Pognębinem? Za obojgiem, ale i tego młodszego jeńca tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pikielhaubą...

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych, mokrych głębiach boru, ktoś jęczy i powtarza: «U nas, u nas, u nas!»

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się: jeńcy leżą w kącie, lampa migoce, wiatr wyje, wszystko w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca. Iście twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przymknięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował żal. Wyraźnie ściska go coś za gardło, wyraźnie płacz mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością na bok i mówi:

— Dobranoc, Władek...

Następuje cisza. Upływa godzina, z Bartkiem coś naprawdę źle. Wiatr gra, jak organy pognębińskie. Jeńcy leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysileniem i woła:

— Karol?

— Co?

— Śpisz?

— Nie...

— Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

— To się módl!

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowa młodego jeńca... wszelako słychać jeszcze przerywany głos:

— Bądź... wola... Twoja!...

— O, Jezu! — wyje coś w piersiach Bartka! — O, Jezu!...

Nie! on już nie wytrzyma dłużej! Chwila jeszcze, a krzyknie: «Paniczu! toć ja chłop!...» Potem przez okno... w las... Niech się dzieje co chce!

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol, a z nim podoficer. Zmieniają straże!

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

* * *

Ale w dalszych dniach przyszły nowe pochody, potyczki, marsze... i miło mi oznajmić, że nasz bohater wrócił do równowagi. Po owej nocy zostało mu tylko trochę zamiłowania do butelki, w której zawsze można znaleźć smak, a czasem i zapomnienie. Zresztą w bitwach bywał jeszcze okrutniejszy niż dotąd; zwycięstwo szło w jego ślady.

VI.

Znów upłynęło kilka miesięcy. Było już dobrze z wiosny. W Pognębinie wiśnie w sadzie kwitły i pokryły się bujnym liściem, a na polach zieleniała ruń obfita. Pewnego razu Magda, siedząc przed chałupą, obierała na obiad marne kiełkowate kartofle, zdatniejsze dla trzody niż dla ludzi. Ale był to przednówek; bieda zajrzała trochę do Pognębina. Znać ją było i z twarzy Magdy, poczerniałej i pełnej frasunku. Może też dla rozpędzenia go, kobieta, przymykając oczy, śpiewała cienkim, wytężonym głosem:

Oj, mój Jasieńko na wojnie! oj! listy pisze do mnie,
Oj, i ja też do niego — oj! bom żoneczka jego.

Wróble na czereśniach świergotały, jakby ją pragnęły zagłuszyć, a ona, śpiewając, spoglądała w zamyśleniu to na psa śpiącego na słońcu, to na drogę przechodzącą koło chałupy, to na steczkę, idącą od drogi przez ogród i pola. Może i dlatego poglądała Magda na steczkę, że wiodła ona na przełaj do stacyi, i tak Bóg dał, że tego dnia nie spoglądała na nią napróżno. W dali ukazała się jakaś postać, i kobieta przysłoniła oczy ręką, ale nie mogła nic dojrzeć, bo ją blask ślepił. Łysek tylko rozbudził się, podniósł głowę, i szczeknąwszy krótko, począł węszyć, nadstawiając uszu i przekręcając łeb na obie strony. Jednocześnie do uszu Magdy doszły niewyraźne słowa pieśni. Łysek zerwał się naraz i całym pędem skoczył ku zbliżającemu się człowiekowi. Wówczas Magda przybladła trochę.

— Bartek, czy nie Bartek?

Wstała nagle, tak, że aż nieculka z kartoflami potoczyła się na ziemię: teraz już nie było wątpliwości. Łysek tam skakał aż do piersi przybyłego. Kobieta rzuciła się naprzód, krzyknąwszy z całej siły z radości:

— Bartek! Bartek!

— Magda! to ja! — wołał Bartek, przykładając dłoń do ust i przyśpieszając kroku.

Otworzył wrota, zawadził o zaworę, mało nie upadł, aż się zatoczył, i padli sobie w objęcia.

Kobieta poczęła mówić szybko:

— A ja myślała, że już nie wrócisz... Myślałam: zabili go... Cóż ci? Pokaż się. Niech się napatrzę! Bardzoś zmizerowany! Oj Jezu!

Oj ty kapcanie!... Oj najmilejszy!... Wrócił! wrócił!...

Chwilami odrywała ręce od jego szyi i patrzała na niego i znów je zarzucała.

— Wrócił! Chwała bądź Bogu... Mój ty Bartczysko kochane!... Cóżeś?... Chodź do chałupy... Franek w szkole! Niemczysko trochę dzieciom dopieka. Chłopak zdrów. Ino ślepie na wierzchu ma jak ty. Oj czas ci wracać! Bo ani rady. Bieda, mówię: bieda!... Chałupsko się psuje. Do stodoły bez dach leci. Cóżeś? Oj Bartku! Bartku! Że też ja jeszcze ciało twoje oglądam! Co ja tu miałam kłopotów z sianem!... Czermieniccy mi pomagali, ale bogać! I cóżeś ty? zdrów? Oj raduję ja ci się, raduję! Bóg cię strzegł. Chodź do chałupy. O dla Boga, coś niby Bartek, niby nie Bartek! A tobie co? Rety?

Magda w tej dopiero chwili spostrzegła długą szramę, ciągnącą się przez twarz Bartka, przez lewą skroń, policzek, aż do brody.

— At nic... Kiryser mnie ta pomacał, ale i ja jego też. W szpitalu byłem.

— O Jezu!

— Ej, mucha.

— A chudyś, jak ta śmierć.

— *Ruhig!* — odrzekł Bartek.

Był rzeczywiście wychudły, zczerniały, obszarpany. Prawdziwy zwycięzca! Przytem chwiał się na nogach.

— Cóżeś ty, pijany?

— Ti... słabym jeszcze.

Był słaby, to pewno! Ale był i pijany, bo przy jego wycieńczeniu, jedna miarka wódki wystarczała, a Bartek na stacyi wypił ich coś cztery. Ale za to miał animusz i minę prawdziwego zwycięzcy. Takiej miny nigdy przedtem nie miewał.

— *Ruhig!* — powtórzył. — Skończyliśmy *Krieg!* teraz ja pan, rozumiesz? A to widzisz? — Tu ręką wskazał krzyże i medale. — Wiesz, com za jeden? — Hę? *links! rechts! Heu! Stroh!* siano! słoma! słoma! siano! *halt!*

Ostatnie *halt!* wrzasnął tak przeraźliwie, że kobieta odskoczyła o kilka kroków.

— Cóżeś ty oszalał?

— Jak się masz, Magda! Kiedy ci mówię: jak się masz? to jak się masz!... A po francusku umiesz, głupia?... *Musiu, musiu!* kto *musiu?* ja *musiu!* wiesz?

— Człeku, co z tobą jest?

— Tobie co do tego! *Was? done diner?* rozumiesz.

Na czole Magdy zaczęła się zbierać burza

— Po jakiemu ty bełkoczesz? Cóż to, nie umiesz po polsku? To ci kasztan! Sprawiedliwie mówię! Co z ciebie zrobili!

— Daj mnie jeść!

— Ruszaj do chałupy.

Wszelka komenda robiła na Bartku wrażenie, któremu żadną miarą oprzeć się nie mógł. Usłyszawszy tedy: «ruszaj!» wyprostował się, ręce wyciągnął wzdłuż bioder, i zrobiwszy pół obrotu, pomaszerował we wskazanym kierunku. Na progu dopiero ochłonął i począł patrzeć na Magdę ze zdumieniem.

— No, co ty Magda? co ty?...

— Ruszaj! Marsz!

Wszedł do chałupy, ale upadł na samym progu. Wódka teraz poczęła mu naprawdę uderzać do głowy. Zaczął śpiewać i oglądać się po chałupie za Frankiem. Powiedział nawet: *Morgen, Kerl!* — choć Franka nie było. Następnie roześmiał się, dał jeden krok nader wielki, dwa bardzo małe, krzyknął: hurra! i legł jak długi na tapczanie. Wieczorem zbudził się trzeźwy, wypoczęty, przywitał się z Frankiem, i wyprosiwszy u Magdy kilkanaście fenigów, odbył tryumfalny pochód do karczmy. Sława jego czynów poprzedziła go już w Pognębinie, gdyż niektórzy żołnierze innych kompanii tego samego pułku, wróciwszy wcześniej, opowiadali jego przewagi pod Gravelotte i Sedanem. Obecnie, gdy się wieść rozeszła, że zwycięzca jest w karczmie, wszyscy dawni towarzysze pośpieszyli go zobaczyć.

Siedzi więc nasz Bartek za stołem, niktby go teraz nie poznał. On, taki dawniej potulny, bije oto pięścią w stół, puszy się jak indyk i gulgoce jak indyk.

— A pamiętacie, chłopcy, jakem tedy Francuzów sprał: co powiedział Steinmec?

— Co nie mamy pamiętać!

— Gadali za Francuzami, straszyli, a to jest mdły naród, *was?* Ony sałatę jedzą jak zające, to i umykają jak zające. A piwa to ci nie piją, ino dycht wino.

— Juści.

— Jakeśma palili jaką wieś, to ony ręce składały i zaraz krzyczały: *pitie! pitie!* to niby znaczy, że dadzą picie, że im co ino daj spokój. Aleśma nie zważali.

— To to można zrozumieć, jak ony szwargoczą? — spytał młody parobczak.

— Ty nie rozumiesz, boś głupi, a ja rozumiem. *Done di pę,* rozumiesz?

— Co zaś padacie?

— A Paryż widzieliśta? Tam ci były batalie jedna za drugą. Ale w każdej pobiliśma. Ony komendy dobrej nie mają. Tak też ludzie mówili. Plot, powiadają, u nich też dobry, ale kołki kiepskie. I oficery kiepskie, i generały kiepskie, a z naszej strony dobre.

Maciej Kierz, stary, mądry gospodarz z Pognębina, począł kiwać głową.

— Oj wygrały Niemcy straszną wojnę, wygrały, a myśma im pomogli; ale co nam z tego przyjdzie, Bóg jeden wie.

Bartek wytrzeszczał na niego oczy.

— Co gadacie?

— Toż Niemcy i tak nie chcieli nas szanować, a teraz to ci nosy pozadzierały, jakby i Boga już nad nimi nie było. I będą jeszcze gorzej nas poniewierać, albo już poniewierają.

— A nieprawda! — rzekł Bartek.

W Pognębinie stary Kierz miał taką powagę, że cała wieś myślała wedle jego głowy, i zuchwalstwem było mu przeczyć, ale Bartek był teraz zwycięzcą i sam powagą.

Wszelako oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a nawet z pewnem oburzeniem.

— Cóż ty z Maciejem będziesz się spierał?... Cóż ty?...

— Co mi ta Maciej! Ja nie z takimi gadałem, rozumita! Chłopcy! czy nie gadałem ze Steinmecem? *was?* A kiej Maciej zmyśla, to zmyśla. Tera nam będzie lepiej.

Maciej popatrzał chwilę na zwycięzcę.

— Oj, ty głupi! — rzekł.

Bartek uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kieliszki i kufle.

— *Still der Kerl da! Hau, Stroh!...*

— Cicho, nie wrzeszcz! Spytaj się, głupi, jegomości, albo i pana.

— Albo jegomość na wojnie był? albo pan był? A ja byłem. Nie wierzta chłopcy. Tera ci nas zaczną szanować. Kto batalię wygrał? Myśma wygrali. Ja wygrałem. Tera o co ci poproszę, to dadzą. Bym chciał dziedzicem we Francyi ostać, to ostanę. Rząd dobrze wie, kto najlepiej prał Francuzów. A nasze pułki były najlepsze. Tak pisało w rozkazach. Tera Polaki górą — rozumieta?

Kierz machnął ręką, wstał i poszedł. Bartek i na polu politycznem odniósł zwycięstwo. Młodzi, którzy z nim zostali, patrzali teraz w niego jak w tęczę. On mówił:

— A ja czegobym nie chciał, to dadzą. Żeby nie ja, to no! Stary Kierz jest kiep: rozumieta? Rząd każe bić, to bić! Kto mnie będzie poniewierał? Niemiec? A to co?

Tu znów pokazał krzyże i medale.

— A za kogo prałem Francuzów? Nie za Niemców, co? Ja tera lepszy jak Niemiec, bo żaden Niemiec niema tyle tego. Piwa dajta! Ze Steinmecem gadałem i z Podbielskim gadałem. Piwa dajta!

Zwolna zabierało się na pijatykę. Bartek począł śpiewać:

«Trink, trink, trink!
Wenn in meiner Tasche
Noch ein Thaler klingt»...

Nagle wydobył z kieszeni garść fenigów.

— Bierzta! ja teraz pan... Nie chceta? Oj nie takich my pieniędzy we Francyi nabrali, ino że poszło. Mało to my nie napalili, ludzi nabili!... Bóg wie nie kogo... francirerów...

Humor ludzi pijanych miewa nagle zmiany. Nadspodziewanie Bartek zgarnął pieniądze ze stołu i począł wołać żałośnie:

— Boże! bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Następnie podparł się obu łokciami na stole, głowę ukrył w łapy, i milczał.

— Co ci jest? — spytał któryś z pijanych.

— Com im winien? — mruknął ponuro Bartek. — Sami leźli! Ino mi ich było żal, bo swojaki oba. Boże, bądź miłościw! Jeden był jak ta zorza rumiana. Nazajutrz to ci był blady jak chusta. A potem to ci ich jeszcze żywych przysypali... Wódki!

Nastała chwila posępnej ciszy. Chłopi spoglądali jeden na drugiego ze zdziwieniem.

— Co on prawi? — spytał któryś.

— Ze sumieniem cości gada.

— Bez tę wojnę człowiek pije — mruknął Bartek.

Napił się wódki raz i drugi. Chwilę posiedział w milczeniu, potem splunął, i niespodzianie wrócił mu dobry humor.

— A wyśta gadali ze Steinmecem?... A ja gadałem! Hurra! Pijta. Kto płaci? Ja!

— Ty płacisz, pijaku, ty! — ozwał się głos Magdy. — Ale i ja ci zapłacę, nie bój się!

Bartek popatrzał na przybyłą kobietę szklanemi oczyma.

— A ze Steinmecem gadałaś? coś za jedna?

Magda, zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do czułych słuchaczów i poczęła lamentować:

— Oj ludzie, ludzie, widzita mój srom i moją niedolę? Wrócił, ucieszyłam się jak komu dobremu, a on wrócił pijany. I Boga zapomniał, i po polsku zapomniał. Położył się spać, wytrzeźwiał, a teraz znowu pije, i moją pracą, moim potem płaci. A skądeś wziął tych pieniędzy? Nie mój że to starunek, nie moja krwawica? co? Oj, ludzie, ludzie, nie katolik to już, nie człowiek, to je Niemiec opętany, co po niemiecku szwargoce i na krzywdę ludzką dybie. To jest odmieniec, to jest...

Tu kobieta zalała się łzami, następnie podniosła głos o oktąwę wyżej:

— Głupi był, ale dobry; ale teraz co z niego zrobili? Czekałam-ci go wieczór, czekałam i rano, i doczekałam się. Znikąd pociechy, znikąd zmiłowania! Boże mocny! Boże cierpliwy!... Żebyś ty skołowaciał, żebyś do reszty Niemcem ostał!

Ostatnie słowa skończyła tak żałośnie, że prawie śpiewając. A Bartek na to:

— Cichoj, bo cię lunę!

— Bij, utnij głowę, utnij zaraz, zabij, zamorduj! — woła natarczywie kobieta, i wyciągnąwszy szyję, zwróciła się do chłopów:

— A wy, ludzie, patrzajta.

Ale chłopi poczęli się wynosić. Wkrótce karczma opustoszała; został tylko Bartek i baba z wyciągniętą szyją.

— Cóż tę tchawicę wyciągasz, jak gęś — mruknął Bartek. — Chodź do chałupy.

— Utnij! — powtarzała Magda.

— Oto, że nie utnę — odparł Bartek i wsadził ręce w kieszenie.

Tu karczmarz chcąc położyć koniec zajściu, zgasił jedyną święcę. Zrobiło się ciemno i cicho. Po chwili w ciemności rozległ się piskliwy głos Magdy:

— Utnij!

— Oto, że nie utnę — odparł tryumfalny głos Bartka.

Przy świetle księżyca widać było dwie postacie, idące od karczmy ku chałupom. Jedna z nich, idąca naprzód, lamentowała głośno: to była Magda; za nią, ze spuszczoną głową, postępował dość pokornie, zwycięzca z pod Gravellotte i Sedanu.

VII.

Bartek wrócił jednak tak osłabiony, że przez kilka dni nie mógł pracować. Było to wielkie nieszczęście dla całego gospodarstwa, które na gwałt potrzebowało męskiej ręki. Magda radziła sobie jak umiała. Pracowała od ranka do nocy; sąsiedzi czemierniccy pomagali jej jak mogli, ale swoją drogą wszystko to nie wystarczało, i gospodarstwo szło potrochu w ruinę. Było też już i nieco długów, zaciągniętych u kolonisty Justa, Niemca, który w Pognębinie zakupił był w swoim czasie u dworu kilkanaście morgów nieużytków, a teraz miał najlepsze w całej wsi gospodarstwo i gotówkę, którą wypożyczał na dość wysokie procenta. Wypożyczał przedewszystkiem dziedzicowi, p. Jarzyńskiemu, którego nazwisko jarzyło się w «Złotej księdze», ale który dlatego właśnie musiał podtrzymywać splendor domu na odpowiedniej stopie; wypożyczał jednak Just i chłopom. Magda winna mu była od pół roku kilkadziesiąt talarów, które częścią włożyła w gospodarstwo, częścią posyłała w czasie wojny Bartkowi. Byłoby to jednak nic. Bóg dał dobre urodzaje, i z przyszłych plonów można było dług spłacić, byle rąk i pracy przyłożyć. Na nieszczęście, Bartek pracować nie mógł. Magda nie bardzo chciała temu wierzyć i chodziła do proboszcza na narady, jakby chłopa rozruszać, a on rzeczywiście nie mógł. Brakło mu oddechu, gdy się cokolwiek strudził, i krzyże go bolały. Siadywał więc po całych dniach przed chałupą i palił porcelanową fajkę z wyobrażeniem Bismarcka w białym mundurze i kirasyerskim hełmie na głowie, i spoglądał na świat zmęczonem, sennem okiem człowieka, z którego kości trud jeszcze nie wyszedł. Rozmyślał przytem trochę o wojnie, trochę o zwycięstwach, o Magdzie, trochę o wszystkiem, trochę o niczem.

Raz gdy tak siedział, usłyszał zdala płacz Franka.

Franek wracał ze szkoły i beczał aż się rozlegało.

Bartek wyjął z ust fajkę.

— No, ty Franc! co ci jest?

— Ale, co ci jest?... — powtórzył szlochając Franek.

— Czego beczysz?

— Ale co nie mam beczyć, kiedym dostał po pysku...

— Kto ci dał po pysku?

— Kto, jak nie pan Boege!

Pan Boege pełnił obowiązki nauczyciela w Pognębinie.

— A on co ma za prawo bić cię po pysku?

— Juści ma, bo dał.

Magda, która okopywała w ogrodzie, przelazła przez płot i z motyką w ręku zbliżyła się do dziecka.

— Cóżeś sprawił? — spytała.

— Com miał sprawić? Jeno Boege nawymyślał mi od polskich świń, i dał mnie w pysk, i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jeno on się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec Święty, a on mi dał w pysk, a ja począłem krzyczeć, a on nawymyślał mi od polskich świń i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały...

Franek począł powtarzać wkółko: «a on powiedział, a ja powiedziałem»; wreszcie Magda zakryła mu twarz ręką, a sama, zwróciwszy się do Bartka, poczęła wołać:

— Słyszysz! słyszysz!... Idź ty wojuj Francuzów, a niech ci dziecko potem Niemiec tłucze, jak tego psa! niech mu wymyśla!... Idź ty wojuj... niech ci Szwab dziecko zabija: masz nagrodę... niech ci plucha...

Tu Magda, rozczulona własną wymową, zaczęła także płakać do wtóru z Frankiem, a Bartek wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i zdumiał — zdumiał tak, iż słowa nie mógł przemówić, a przedewszystkiem zrozumieć tego, co się stało. Jak to? A jego zwycięstwa... Siedział jeszcze chwilę w milczeniu, nagle błysło mu coś w oczach, krew rzuciła się do twarzy. Zdumienie, równie jak przestrach, częstokroć u prostaczków przechodzi we wściekłość. Bartek zerwał się nagle i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

— Ja się z nim rozmówię.

I poszedł. Niedaleko było. Szkoła leżała tuż za kościołem. Pan Boege stał właśnie przed gankiem, otoczony gromadką prosiąt, między które rozrzucał kawałki chleba.

Był to rosły człowiek, lat około pięćdziesięciu, krzepki jeszcze jak dąb. Nie był zbyt tłusty, twarz tylko miał bardzo tłustą, a w tej twarzy pływały duże rybie oczy, z wyrazem śmiałości i energii.

Bartek przystąpił do niego bardzo blizko.

— Za co ty mi, Niemcze, dziecko bijesz? *was?* — spytał.

Pan Boege odstąpił od niego kilka kroków, zmierzył go oczyma bez cienia bojaźni i rzekł z flegmą:

— Won, polska «turnia!»

— Za co dziecko bijesz? — powtórzył Bartek.

— Ja i ciebie bić, polska «chama!» Teraz my wam pokażemy, kto tu pan. Idź do dyabel, idź na skargę do sąd... precz!

Bartek, schwyciwszy nauczyciela za ramię, począł potrząsać nim silnie, wołając chrapliwym głosem:

— Wiesz, com za jeden? wiesz, kto Francuzów sprał? wiesz, kto ze Steinmecem gadał? Za co dziecko bijesz, szwabska plucho?

Rybie oczy pana Boego wylazły na wierzch, nie gorzej Bartkowych, ale pan Boege był silny człowiek i postanowił jednym zamachem uwolnić się od napastnika...

Zamach ten ozwał się potężnym policzkiem na twarzy zwycięzcy z pod Gravelotte i Sedanu.

Wtedy chłop stracił pamięć. Głowa Boegego wstrząsnęła się dwoma nagłymi ruchami, przypominającymi ruch wahadła, z tą różnicą, że wstrząśnienia były przerażająco szybkie. W Bartku znów zbudził się straszliwy pogromca turkosów i żuawów. Napróżno dwudziestoletni Oskar, syn Boegego, chłop równie silny jak ojciec, pośpieszył mu z pomocą. Zawiązała się walka krótka, straszna, w której syn padł na ziemię, a ojciec uczuł się wyniesionym w powietrze. Bartek, wyciągnąwszy ręce do góry, niósł go, sam nie wiedząc dokąd. Na nieszczęście, pod chałupą stała beczka z pomyjami, skrzętnie zlewanemi dla świń przez panią Boegową, i oto bulknęło w beczce, a po chwili widać z niej było sterczące nogi Boegego i poruszające się gwałtownie. Boegowa wypadła z domu:

— Pomocy! ratunku!

Z poblizkich domów koloniści pośpieszyli na pomoc sąsiadom.

Kilkunastu Niemców rzuciło się na Bartka, i poczęli okładać go to kijami, to pięściami. Powstało ogólne zamieszanie, w którem trudno było odróżnić Bartka od wrogów: kilkanaście ciał zbiło się w jedną masę, poruszającą się konwulsyjnie.

Nagle jednak z masy walczących wypadł jak szalony Bartek, dążąc co sił do płotu.

Niemcy skoczyli za nim, jednocześnie jednak dał się słyszeć przeraźliwy trzask płotu, i w tejże chwili potężna żerdź zakołysała się w żelaznych łapach Bartka.

Odwrócił się zapieniony, wściekły, wzniósł ręce z żerdzią do góry: pierzchli wszyscy.

Bartek sunął za nimi.

Szczęściem, nie dogonił nikogo. Przez ten czas ochłonął i począł rejterować ku domowi. Ach! gdyby miał przed sobą Francuzów! Odwrót tem unieśmiertelniłaby historya.

Było tak: napastujący w liczbie blizko dwudziestu ludzi, zebrawszy się, nacierali na nowo na Bartka. On cofał się zwolna, jak odyniec party przez psiarnię. Chwilami odwracał się i zatrzymywał, a wtedy zatrzymywali się i goniący. Żerdź przejmowała ich zupełnym szacunkiem.

Ciskali jednak kamieniami, jeden z tych kamieni zranił Bartka w czoło. Krew zalewała mu oczy. Czuł, że słabnie. Zachwiał się raz i drugi na nogach, opuścił żerdź i upadł.

— Hurra! — krzyknęli koloniści.

Ale nim dobiegli, Bartek podniósł się znowu. To ich wstrzymało. Ten ranny wilk mógł jeszcze być niebezpieczny. Zresztą było to już niedaleko pierwszych chałup, i zdala widać już było kilku parobków, pędzących co siły na plac potyczki. Koloniści cofnęli się do domów.

— Co się stało? — pytali nadbiegli.

— Niemców krzynę pomacałem — odpowiedział Bartek.

I zemdlał.

VIII.

Sprawa stała się groźną. Gazety niemieckie umieściły nader wzruszające artykuły o prześladowaniach, jakich doznaje spokojna ludność niemiecka od barbarzyńskiej i ciemnej masy, podniecanej przez anti-państwowe agitacye i fanatyzm religijny. Boege stał się bohaterem. On, nauczyciel, cichy i łagodny, krzewiący oświatę na dalekich krańcach państwa; on, prawdziwy misyonarz kultury wśród barbarzyńców, pierwszy padł ofiarą rozruchu. Szczęściem, że za nim stoi sto milionów Niemców, którzy nie pozwolą, aby i t. d.

Bartek nie wiedział, jaka burza zbiera się nad jego głową. Owszem, był dobrej myśli. Był pewny, że w sądzie wygra. Przecie Boege mu dziecko pobił i jego pierwszy uderzył, a potem tylu na niego napadło! Musiał się przecie bronić. Rozbili mu jeszcze głowę kamieniem. I komu?

jemu, którego wymieniały rozkazy dzienne, jemu, który «wygrał» bitwę pod Gravelotte, który gadał z samym Steinmecem, który miał tyle krzyżów! Nie mieściło mu się to wprawdzie w głowie, jak Niemcy mogli o tem wszystkiem nie wiedzieć i tak go pokrzywdzić, również jak nie mieściło mu się i to, jak Boege mógł obiecywać Pognębińcom, że ich teraz Niemcy będą nogami kopali za to, że oni Pognębińcy tak dzielnie bili Francuzów, ilekroć była sposobność. Ale co do siebie, był pewny, że sąd i rząd ujmą się za nim. Tam przecie będą wiedzieli, co on za jeden i co on na wojnie robił. Choćby nie kto inny, to Steinmetz ujmie się za nim. Przecie Bartek przez tę wojnę i zbiedniał, i chałupę zadłużył, toć przecie nie odmówią mu sprawiedliwości.

Tymczasem do Pognębina przyjechali po Bartka żandarmi. Spodziewali się widać strasznego oporu, bo przyjechało ich aż pięciu z nabitymi karabinami. Mylili się. Bartek o oporze nie myślał. Kazali mu na bryczkę siąść: usiadł. Magda desperowała tylko i powtarzała uparcie:

— Oj, trzebaż ci było tych Francuzów tak wojować? Maszże teraz, biedaku, masz.

— Cichoj, głupia! — odpowiadał Bartek i uśmiechał się po drodze dość wesoło do przechodzących.

— Ja im pokażę kogo skrzywdzili! — wołał z bryczki.

I ze swymi krzyżami na piersiach jechał jak tryumfator do sądu.

Jakoż sąd okazał się na niego łaskawy. Zgodzono się na istnienie okoliczności łagodzących. Bartek osobiście skazany został tylko na trzy miesiące więzienia.

Prócz tego skazano go na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek tytułem wynagrodzenia rodzinie Boege i innym «obrażonym na ciele kolonistom».

«Zbrodniarz wszelako — pisała w sprawozdaniu sądowem *Posener Zeitung* — nietylko po odczytaniu mu wyroku nie okazał najmniejszej skruchy, ale wybuchnął tak grubijańskiemi słowy i tak bezczelnie począł wyrzucać państwu swoje rzekome usługi, iż dziwić się tylko należy, że obelgi względem sądu i względem niemieckiego plemienia...»

Tymczasem Bartek rozpamiętywał w kozie spokojnie swoje czyny pod Gravelotte, Sedanem i Paryżem.

Popełnilibyśmy jednak niesprawiedliwość, twierdząc, że i postępek p. Boegego nie wywołał żadnej publicznej nagany. Owszem, owszem. Pewnego dżdżystego poranku jakiś poseł polski bardzo wymownie dowodził, jak zmieniło się postępowanie z Polakami w Poznańskiem, jak za męstwo i ofiary, poniesione przez poznańskie pułki w czasie wojny, należałoby dbać więcej o prawa ludzkości w poznańskiej prowincyi; jak nakoniec p. Boege z Pognębina nadużywał swej pozycyi nauczyciela, bijąc polskie dzieci, nazywając je polskiemi świniami i obiecując, że po takiej wojnie napływowa ludność będzie kopała nogami aborigenów.

I gdy tak poseł mówił, deszcz sobie padał, a ponieważ takiego dnia senność ludzi ogarnia, więc ziewali konserwatyści, ziewali national-liberalni i socyaliści, ziewało i centrum, bo było to jeszcze przed walką kulturną.

Wreszcie nad tą «polską skargą» Izba przeszła do porządku dziennego.

Bartek tymczasem siedział w kozie, a raczej leżał w szpitalu więziennym, bo od uderzenia kamieniem otworzyła mu się rana, którą na wojnie otrzymał.

Gdy nie miał gorączki, myślał, myślał jak ów indyk, który zdechł od myślenia. Ale Bartek nie zdechł, tylko nic nie wymyślił.

Czasem jednakże w chwilach, które nauka zwie *lucida intervalla*, przychodziło mu do głowy, że może niepotrzebnie tak «prał» Francuzów.

Na Magdę za to nadeszły ciężkie godziny. Trzeba było zapłacić karę: nie było skąd wziąć. Ksiądz pognębiński chciał pomódz, ale pokazało się, że w kasie nie miał całych czterdziestu marek. Biedna to była parafia ten Pognębin, a zresztą staruszek nigdy nie wiedział, jak mu się pieniądze rozchodzą. Pana Jarzyńskiego nie było w domu. Mówili, że pojechał w konkury do jakiejś bogatej panny do Królestwa.

Magda nie wiedziała co ma począć.

O przedłużeniu terminu nie było co i myśleć. Cóż więc? Sprzedać konie, krowy? I tak był przednówek, czas najcięższy. Żniwo się zbliżało, gospodarka wymagała pieniędzy, a wyczerpały się już wszystkie. Kobieta ręce łamała z rozpaczy. Podała kilka próśb o zmiłowanie do sądu, wymieniając zasługi Bartka. Nie otrzymała nawet odpowiedzi. Termin się zbliżał, a z nim i sekwestr.

Modliła się i modliła, wspominając gorzko dawne czasy przed wojną, gdy byli zamożni i gdy Bartek zimą jeszcze w fabryce zarabiał. Poszła do kumów pożyczyć pieniędzy: nie mieli. Wojna wszystkim dała się we znaki. Do Justa nie śmiała iść, bo i tak była mu winna, a nie płaciła nawet procentów. Tymczasem Just niespodzianie sam przyszedł do niej.

Pewnego popołudnia siedziała na progu chaty i nie robiła nic, bo ją siły z rozpaczy odeszły. Patrzała przed siebie, na goniące się po powietrzu muszki złote, i myślała: «Jakie to ono robactwo szczęśliwe, buja sobie i nie płaci i t. d.» Czasem wzdychała ciężko, lub z jej pobladłych ust wyrywało się ciche wezwanie: «O Boże! Boże!» Nagle przed wrotami pokazał się spuszczony nos Justa, pod którym widać było spuszczoną fajkę: kobieta pobladła. Just ozwał się:

— *Morgen!*

— Jak się macie, panie Just!

— A moje pieniądze?

— O mój złocieńki panie Just, bądźcie cierpliwi. Ja biedna, co ja zrobię? Chłopa mi wzięli, karę za niego płacić muszę, rady sobie dać nie mogę. Lepiejbym zmarła, niż się mam tak męczyć z dnia na dzień. Poczekajcie, mój złocieńki panie Just!

Rozpłakała się, i schyliwszy się, ucałowała pokornie tłustą, czerwoną rękę pana Justa.

— Pan przyjedzie, to od niego pożyczę, a wam oddam.

— No, a sztraf z czego zapłacicie?

— Czy ja wiem? Chyba krowinę sprzedam.

— To ja wam pożyczę jeszcze.

— Niech panu Pan Bóg zapłaci, mój złoty panie. Pan, choć luter, ale dobry człowiek. Sprawiedliwie mówię! Żeby inne Niemcy były jak pan, toby ich człowiek błogosławił.

— Ale ja bez procentu nie dam.

— Ja wiem, ja wiem.

— To mi napiszecie jeden kwit na wszystko.

— Dobrze, złoty panie. Bóg panu zapłać i tak.

— Będę w mieście, to sporządzimy akt.

Był w mieście i sporządził akt, ale poprzednio Magda poszła radzić się proboszcza. Co tu jednak było radzić? Ksiądz mówił, że termin za krótki, że procenta za wysokie, i biadał bardzo, że p. Jarzyńskiego w domu niema, bo gdyby był, toby może pomógł. Nie mogła jednak Magda czekać, aż jej sprzedadzą sprzężaj, i musiała przyjąć warunki Justowe. Zaciągnęła trzysta marek długu, to jest dwa razy tyle, ile wynosił «sztraf», boć przecie trzeba było mieć w domu jaki grosz na prowadzenie gospodarstwa. Bartek, który dla ważności aktu obowiązany był stwierdzić go własnym podpisem, podpisał. Magda w tym celu umyślnie chodziła do niego do «karceresu». Zwycięzca bardzo był pognębiony, przybity i chory. Chciał on jeszcze pisać skargę i przedstawić swoje krzywdy, ale skargi nie przyjęto. Artykuły *Posener Zeitung* nader nieprzychylnie usposobiły dla niego opinię sfer rządowych. Czyż bowiem władze owe nie powinny były rozciągnąć opieki nad spokojną ludnością niemiecką, «która w ostatniej wojnie tyle złożyła dowodów miłości dla ojczyzny i poświęcenia?» Słusznie więc odrzucono skargę Bartka. Ale nie dziw, że go to pognębiło ostatecznie.

— Już my teraz przepadniemy z kretesem — rzekł do żony.

— Z kretesem — powtórzyła.

Bartek począł namyślać się nad czemś usilnie.

— Krzywda mi się dzieje okrutna — rzekł.

— Chłopca Boege prześladuje — mówiła Magda. — Chodziłam go prosić, jeszcze mi nawymyślał. Oj! teraz w Pognębinie Niemcy górą. Ony się teraz nikogo nie boją.

— Pewno, że ony najmocniejsze — rzekł smutno Bartek.

— Jać prosta jestem kobieta, ale to ci powiem: mocniejszy jest Bóg.

— W nim ucieczka nasza — dodał Bartek. Chwilę milczeli oboje, potem znowu spytał:

— No, a co Just?

— Żeby Bóg najwyższy dał urodzaj, to może go jakoś zapłaciwa. Może też i pan nam dopomoże, chociaż on sam ma długi u Niemców. Jeszcze przed wojną mówili, że musi Pognębin sprzedać. Chyba, że bogatą pannę weźmie.

— A prędko on wróci?

— Kto go wie? We dworze prawią, że niezadługo już z żoną przyjedzie. Niemcy go przycisną, jak wróci. Zawdy te Niemcy! Dyć to lezie jak robactwo! Gdzie się obejrzysz, gdzie się niedopatrzysz, czy na wsi, czy w mieście — Niemcy, za grzechy chyba nasze! A ratunku znikąd!

— Może też co uradzisz, tyś przecie mądra kobieta.

— Co ja zradzę, co? Czy to ja po dobrej woli brała od Justa pieniądze? Na dobrą sprawę, toć ta chałupina, w której siedzimy, i też grunt, to już jego. Just lepszy Niemiec od innych, ale on też swoje dobro, nie cudze, ma na oku. Nie pofolguje on, jak i innym nie pofolgował. Czy ja taka głupia, czy ja nie wiem, po co on mi wtyka pieniądze! Ale co zrobić! co zrobić! — mówiła, łamiąc ręce. — Radź ty, kiedyś mądry. Francuzów umiałeś bić, a co poczniesz, jak ci dachu nad głową niestanie, albo łyżki strawy do gęby?

Zwycięzca z pod Gravelotte uchwycił się za głowę.

— O Jezu, Jezu!

Magda miała dobre serce; wzruszył ją ten ból Bartkowy, więc rzekła zaraz:

— Cichoj, chłopie! cichoj! nie łap się za łeb, skoro ci się jeszcze nie zgoił. Byle Bóg urodzaj dał! Żytko ci takie śliczniutkie, że aż się ziemię chce całować; pszenica też. Ziemia nie Niemiec, nie ukrzywdzi. Choć to i bez twoją wojnę kiepsko koło roli zrobione, to ci tak rośnie, że a!

Poczciwa Magda uśmiechnęła się przez łzy.

— Ziemia nie Niemiec... — powtórzyła raz jeszcze.

— Magda! — rzekł Bartek, patrząc na nią swemi wyłupiastemi oczyma. — Magda!

— Czego?

— A bo tyś jest... niby...

Bartek czuł dla niej wdzięczność wielką, ale nie umiał tego wyrazić.

IX.

Magda naprawdę była tyle warta, ile dziesięć gorszych od niej kobiet. Trzymała trochę krótko swego Bartka, ale przywiązana była do niego prawdziwie. W chwilach uniesienia, jako naprzykład wonczas w karczmie, mówiła mu w oczy, że głupi, ale zwyczajnie wołała wszelako, by ludzie inaczej myśleli: »Mój Bartek głupiego udaje, a on je chytry« — mawiała nieraz. Tymczasem Bartek był tak chytry, jak jego koń, i bez Magdy nie dałby sobie rady ani w gospodarstwie, ani w niczem. Teraz oto wszystko było na jej poczciwej głowie, i jak zaczęła dreptać, zabiegać, chodzić, prosić, tak i wyprosiła ratunek. W tydzień po ostatnich odwiedzinach w więziennym szpitalu, wpadła znowu do Bartka, zadyszana, rozpromieniona, szczęśliwa.

— Jak się masz, Bartek, kasztanie! — zawołała z radością. — Wiesz, przyjechał pan! Ożenił ci się w Królestwie; młoda pani dycht jagódka. A nabrał ci też za nią wszelakiego dobra, oj! oj!...

Dziedzic Pognębina ożenił się rzeczywiście, zjechał z żoną na miejsce i rzeczywiście nabrał za nią sporo »wszelakiego dobra«.

— No, i co z tego? — spytał Bartek.

— Cicho, głupi! — odrzekła Magda. — O, tom się zadyszała! O Jezu!... Poszłam się pani pokłonić, patrzę: wyszła do mnie jak królewna jaka, młodziusieńka, kiej łoński kwiateczek, śliczniuchna, jak ta zorza... A to upał! a tom się zadyszała!...

Magda podniosła fartuch i poczęła obcierać twarz spoconą. Po chwili mówiła znów przerywanym głosem:

— Suknię-ci miała jak ten chaber niebiesiuchną... Podjęłam ją pod nogi, i rączkę mi dała... pocałowałam, a rączki to ci ma pachnące i maluśkie, jak u dziecka!... Dycht jaka święta na obrazku, i dobra jest i wyrozumiała na biedę ludzką. Poczęłam ją prosić o poratowanie... Żeby jej Bóg dał zdrowie!... A ona powiada: »Co w mojej mocy, powiada, to zrobię«. A głosik to ci ma taki, że jak przemówi, to cię aż słodkość ogarnie. Tak dopiero ja poczęłam prawić, jaki to w Pognębinie naród nieszczęśliwy, a ona powiada: »Ej, nietylko w Pognębinie...« i dopiero ja się rozbeczałam, i ona też. Aż pan nadszedł, zobaczył, że ona płacze, i jak ją weźmie całować gęba nie gęba, oczko nie oczko. Panowie nie takie jak wy! Dopiero ona mu powiada: »Zrób co możesz dla tej kobiety«. A on powiada: »Wszystko na świecie, czego zechcesz«. Niechże ją Matka Boska błogosławi, oną jagódkę złotą! niech ją na dzieciach błogosławi i na zdrowiu. I zaraz pan powiada: »Zawiniliście ciężko, boście się w niemieckie ręce podali, ale, powiada, poratuję was i na Justa dam«.

Bartek począł drapać się w kark.

— Dyć pana też Niemcy mieli w ręku.

— No to co! ale pani bogata. Państwoby teraz wszystkich Niemców w Pognębinie mogli kupić, to i panu wolno gadać. Wybory, powiada pan, niezadługo będą, niech ludzie patrzą, by za Niemcami nie głosowali, a ja na Justa dam i Boegego przykrócę. A pani go za to za szyję wzięna, a pan się pytał o ciebie, i powiada, jeśli słaby, to ja z doktorem pogadam, żeby mu napisał świadectwo, jako teraz nie może siedzieć. Jeśli go nie zwolnią całkiem, to, powiada, odsiedzi w zimie, a teraz do roboty na żniwa potrzebny. Słyszysz? Wczoraj pan w mieście był, a dziś doktor jedzie do Pognębina z wizytą, bo go pan zaprosił. On nie Niemiec. I świadectwo napisze. W zimie będziesz siedział w karceresie, jak ten król, będzie ci ciepło i żreć darmo ci dadzą, a teraz pójdziesz do dom, do roboty, i Justa zapłaciewa, a pan może i nijakiego procentu nie będzie chciał, a jak nie oddamy wszystkiego w jesieni, to u pani wyproszę. Niechże ją Matka Boska!... Słyszysz?...

— Dobra pani. Niema co! -- rzekł raźno Bartek.

— Padniesz-że ty jej do nóg, padniesz, a nie, to ci chyba ten żółty łeb ukręcę! Byle Bóg urodzaj dał! A widzisz, skąd poratowanie? od Niemców? dały ci choć grosz za te twoje głupie mentale? co? Dały ci po łbie i tyla. Padniesz-że ty pani do nóg, mówię.

— Co nie mam paść! — odparł rezolutnie Bartek.

Los zdawał się znowu uśmiechać zwycięzcy. W kilka dni później zawiadomiono go, że z powodów zdrowia, na teraz zostaje uwolniony z kozy, aż do zimy. Przedtem jednak landrat kazał mu się stawić przed sobą. Bartek stawił się z duszą na ramieniu. Ten chłop, który z bagnetem w ręku brał sztandary i armaty, począł się teraz bać każdego munduru więcej niż śmierci, począł nosić w sercu jakieś głuche, bezwiedne poczucie, że go prześladują, że mogą zrobić z nim co zechcą, że jest nad nim jakaś siła ogromna a nieżyczliwa i zła, która, gdyby się jej opierał, to go zetrze. Stał więc oto przed landratem, jak ongi przed Steinmetzem, wyprostowany, z brzuchem wciągniętym, piersią wydaną naprzód i bez tchu w piersiach. Było także i kilku oficerów: wojna i karność wojenna stanęły Bartkowi w oczach, jakby żywe. Oficerowie patrzali na niego przez złote binokle z dumą i pogardą, należną prostemu żołnierzowi i polskiemu chłopu od pruskich oficerów; on stał, dech wstrzymując, a landrat mówi coś rozkazującym tonem. Nie prosił, nie namawiał, rozkazywał, groził. W Berlinie poseł umarł, nowe wybory rozpisano.

— *Du polnisches Vieh!* spróbuj tylko głosować za panem Jarzyńskim, spróbuj!

Brwi oficerów ściągnęły się w tej chwili w groźne lwie zmarszczki. Jeden ogryzając cygaro powtórzył za landratem: »Spróbuj!« a w zwycięskim Bartku dech zamierał. Gdy usłyszał pożądane: »Poszedł precz!« zrobił pół obrotu w lewo, wyszedł i odetchnął. Dano mu rozkaz, by głosował za panem Szulbergiem z Krzywdy Wielkiej. Nad rozkazem nie namyślał się, ale odetchnął, bo szedł oto do Pognębina, bo na żniwa mógł być w domu, bo pan obiecał spłacić Justa. Wyszedł za miasto. Ogarnęły go łany zbóż dojrzewających. Kłos ciężki z wiatrem o kłos uderzał, i szeleściły wszystkie miłym dla chłopskiego ucha szelestem. Bartek słaby był jeszcze, ale słońce go grzało. Hej! jak to na świecie pięknie! myślał sterany żołnierz. I do Pognębina już niedaleko.

X.

Wybory! wybory! Pani Marya Jarzyńska ma ich pełną główkę, nie myśli, nie mówi i nie marzy o niczem więcej.

— Pani dobrodzika to wielki polityk — mówi do niej sąsiad szlachcic, całując jak smok jej małe rączki, a wielki polityk rumieni się jak wiśnia i odpowiada ze ślicznym uśmiechem:

— O, my agitujemy, jak tylko możemy!

— Pan Józef będzie posłem! — mówi przekonywająco szlachcic, a »wielki polityk« odpowiada:

— Chciałabym bardzo, chociaż nietylko o Józia chodzi, ale (tu »wielki polityk« piecze znowu niepolitycznego raka), ale to sprawa ogólna...

— Czysty Bismarck! jak Boga kocham! — woła szlachcic i znowu całuje maleńkie rączki, potem radzą oboje nad agitacyą.

Szlachcic bierze na siebie Krzywdę Dolną i Mizerów (Krzywda Wielka stracona, bo dziedzicem jej pan Szulberg), a pani Marya ma zająć się przedewszystkiem Pognębinem. Aż jej się główka pali, że zajmuje taką rolę. Jakoż czasu nie traci. Codzień widać ją na wielkiej drodze między chałupami: sukienka podniesiona w jednej ręce, parasolka w drugiej, a z pod sukienki wyglądają malutkie nóżki, drepczące z zapałem w wielkich celach politycznych. Wstępuje do chałup, pracującym ludziom mówi po drodze: »Boże dopomóż!« Odwiedza chorych, ujmuje sobie ludność, pomaga gdzie może. Robiłaby to i bez polityki, bo ma dobre serce, ale dla polityki tembardziej. Czegoby ona nie zrobiła dla tej polityki?! Oto nie śmie tylko przyznać się mężowi, że ma niepowstrzymaną ochotę pojechać na wiec włościański; ułożyła sobie nawet w główce mowę, jaką wypadałoby na wiecu powiedzieć. Co to za mowa! co za mowa! Wprawdzie pewnoby nieśmiała jej wypowiedzieć, ale gdyby wypowiedziała, to no! Za to, gdy do Pognębina doszła wiadomość, że władze wiec rozpędziły, »wielki polityk« rozbeczał się ze złości w swoim pokoju, podarł jedną chusteczkę i cały dzień miał czerwone oczy. Napróżno mąż prosił jej, by nie »demenowała« się do tego stopnia. Nazajutrz agitacya w Pognębinie prowadzona była z większym jeszcze ferworem. Pani Marya nie cofa się teraz przed niczem. Jednego dnia jest w kilkunastu chatach i wymyśla tak głośno na Niemców, że aż mąż musi ją powstrzymywać. Ale niema niebezpieczeństwa. Ludzie przyjmują ją z radością, całują po rękach i uśmiechają się do niej, bo taka jest ładna, taka różowa, że gdzie wejdzie, jasno się robi. Z kolei przychodzi i do chałupy Bartka. Łysek jej nie puszcza, ale Magda daje mu w zapale drewnem w łeb.

— O, jaśnie pani! moje złoto, moje śliczności, moja jagódko! — woła Magda, tuląc się do jej rąk.

Bartek, zgodnie z postanowieniem, rzuca się jej do nóg, mały Franek całuje ją naprzód w rękę, następnie kładzie palec w usta i pogrąża się w całkowitym podziwie.

— Spodziewam się, — mówi po powitaniach młoda pani — spodziewam się, mój Bartku, że będziecie głosowali za moim mężem, nie za panem Szulbergiem.

— O, moja zorzo! — woła Magda — ktoby ta za Siulbergiem głosował! Niech go tam paralius! (Tu całuje panią w rękę). Niech się jaśnie pani nie gniewa, ale człek, gdy o Niemcach mówi, to i języka nie może utrzymać.

— Mąż właśnie mówił mi, że zapłaci Justa.

— Niech go Bóg błogosławi! — Tu Magda zwraca się do Bartka: — Czego stoisz, jak drąg? On, proszę pani, strasznie niemowny.

— Będziecie za moim mężem głosowali? — pyta pani — prawda? Wyście Polacy, my Polacy, będziemy się trzymali.

— Łebbym mu ukręciła, żeby nie głosował! — rzecze Magda. — Czegóż stoisz, jak drąg? On strasznie niemowny. Ruszże się!

Bartek całuje znowu panią w rękę, ale milczy ciągle i jest ponury, jak noc. W myśli stoi mu landrat.

⁂

Dzień wyborów zbliża się i nadchodzi. Pan Jarzyński pewny jest wygranej. Do Pognębina zjeżdża się sąsiedztwo. Panowie wracają już z miasta, dali już głosy i czekać będą teraz w Pognębinie na wiadomość, którą przywiezie ksiądz. Potem będzie obiad, wieczorem zaś państwo wyjadą do Poznania, a następnie i do Berlina. Niektóre wsie z okręgu wyborczego głosowały jeszcze wczoraj. Rezultat dziś będzie wiadomy. Zgromadzeni wszelako dobrej są myśli. Młoda pani trochę niespokojna, ale pełna nadziei i uśmiechnięta, jest tak uprzejmą gospodynią, że wszyscy zgadzają się, iż pan Józef znalazł prawdziwy skarb w Królestwie. Skarb ten nie może wprawdzie teraz usiedzieć spokojnie na miejscu, biega od gościa do gościa i każe się każdemu po sto razy zapewniać, że »Józio będzie wybrany«. Nie jest ona rzeczywiście ambitną i nie z próżności chce zostać panią posłową, ale wymarzyła sobie w swojej młodej główce, że oboje z mężem mają do spełnienia prawdziwą misyę. Serce więc jej bije tak żywo, jak w chwili ślubu, i radość oświeca ładną twarzyczkę. Lawirując zręcznie wśród gości, zbliża się do męża, pociąga go za rękaw i szepcze mu do ucha, jak dziecko, które kogoś przezywa: »pan poseł!« On uśmiecha się, i oboje są nad wszelki wyraz szczęśliwi. Oboje mają wielką ochotę wycałować się porządnie, ale przy gościach nie wypada. Wszyscy zresztą wyglądają co chwila za okno, bo sprawa jest istotnie ważna. Dawny zmarły poseł był Polakiem, i pierwszy to raz dopiero Niemcy stawiają w tym okręgu swego kandydata. Widocznie zwycięska wojna dodała im odwagi, ale właśnie dlatego zgromadzonym w pognębińskim dworze tembardziej chodzi o to, by ich kandydat był wybrany. Nie brak też jeszcze przed obiadem patryotycznych przemówień, które szczególniej wzruszają młodą panią, jako do nich nieprzywykłą. Chwilami ma ona napady obawy. A jeśli zrobią jakie malwersacye przy obliczaniu głosów? Ale przecie w komitecie zasiadają nietylko Niemcy! Starsi obywatele tłómaczą właśnie pani, jak się obliczanie głosów odbywa. Słyszała to ona ze sto razy, ale jeszcze chce słyszeć. Ach! bo przecie chodzi tu o to, czy ta miejscowa ludność będzie miała w parlamencie obrońcę, czy wroga? Za chwilę się to rozstrzygnie, nawet za małą chwilę, bo na drodze powstaje nagle kłąb kurzu. »Proboszcz jedzie! proboszcz jedzie!« —powtarzają obecni. Pani blednie. Na wszystkich twarzach znać wzruszenie. Są pewni zwycięstwa, a jednak ostatnia chwila przyśpiesza bicie serc. Ale to nie proboszcz, to włodarz wraca konno z miasta. Może co wie? Przywiązuje konia do kołka i śpieszy do dworu. Goście z gospodynią na czele wpadają na ganek.

— Są wiadomości? Są? Nasz pan wybrany? Co? Chodź tu! Wiesz na pewno? Rezultat ogłoszony?

Pytania krzyżują się i padają jak race, a chłop rzuca czapkę do góry.

— Nasz pan wybrany!

Pani siada nagle na ławce i przyciska ręką falujące piersi.

— Wiwat! wiwat! — krzyczą sąsiedzi. — Wiwat!

Służba wypada z kuchni. — »Wiwat! Pobite Niemcy! Niech żyje poseł! I pani posłowa!«

— A proboszcz? — pyta ktoś.

— Zaraz tu będzie — odpowiada włódarz: — jeszcze reszty obliczają...

— Obiad dawać! — woła pan poseł.

— Wiwat! — powtarzają inni.

Wchodzą znów wszyscy z ganku do sali. Powinszowania panu i pani płyną już spokojniej, sama pani tylko nie umie pohamować radości i bez względów na świadków rzuca mężowi ręce na szyję. Ale nie biorą jej tego za złe; owszem, rozczulenie ogarnia wszystkich.

— No, jeszcze żyjemy! — mówi sąsiad z Mizerowa.

Tymczasem przed gankiem rozlega się turkot, i do sali wchodzi ksiądz proboszcz, a z nim stary Maciej z Pognębina.

— Witamy! witamy! — wołają zgromadzeni. — No, jaka większość?

Ksiądz milczy przez chwilę i nagle rzuca, jakby w twarz tej powszechnej radości, szorstkie i krótkie dwa wyrazy:

— Szulberg... wybrany!...

Chwila zdumienia, grad pytań przyśpieszonych i trwożnych, na które ksiądz odpowiada znowu:

— Szulberg wybrany!

— Jak? Co się stało? Jakim sposobem? Włódarz mówił, że nie! Co się stało?

W tej chwili pan Jarzyński wyprowadza biedną panią Maryę, która gryzie chusteczkę, by nie wybuchnąć płaczem, lub nie zemdleć.

— O, nieszczęście! nieszczęście! — powtarzają zgromadzeni, chwytając się rękoma za głowy.

W tej chwili od strony wsi dochodzą jakieś zmącone głosy, jakby radosnych krzyków. To Niemcy pognębińscy obchodzą tak radośnie swoje zwycięstwo.

Państwo Jarzyńscy wracają znów do sali. Słychać, jak przy drzwiach młody pan mówi do pani: *„Il faut faire bonne mine“*. Jakoż młoda pani już nie płacze. Oczy ma suche i bardzo silne rumieńce.

— Powiedzcież teraz, jak się to stało? — pyta spokojnie gospodarz.

— Jakże się nie miało stać, jaśnie panie, — mówi stary Maciej — skoro i tutejsze chłopy pognębińskie głosowali za Szulbergiem.

— Kto taki?

— Jak to? tutejsi?

— A jakże. Ja sam widziałem i wszyscy, jak Bartek Słowik głosował za Szulbergiem...

— Bartek Słowik? — mówi pani.

— A jakże. Teraz-ci go inni wymyślają. Chłop tarza się po ziemi, płacze, baba go wymyśla. Aleć ja sam widziałem, jak głosował.

— Ze wsi takiego wyświecić! — rzecze sąsiad z Mizerowa.

— Bo jaśnie panie, — mówi Maciej — inni też, co byli na wojnie, to też głosowali, jak i on. Gadają, że im kazali...

— Nadużycie, czyste nadużycie, nieważny wybór, przymus, szachrajstwo! — wołały różne głosy.

Niewesoły był obiad tego dnia w pognębińskim dworze.

Wieczorem państwo wyjechali, ale już nie do Berlina, tylko do Drezna.

Nędzny, przeklinany, sponiewierany i znienawidzony Bartek siedział tymczasem w swojej chałupie, obcy nawet dla żony własnej, bo i ta nie przemówiła do niego cały dzień ni słowa.

⁂

Jesienią Bóg urodzaj dał, i pan Just, który właśnie objął był w posiadanie Bartkową kolonię, rad był, że wcale niezły zrobił interes.

Pewnego dnia szło z Pognębina do miasta troje ludzi: chłop, baba i dziecko. Chłop był pochylony bardzo, podobniejszy do dziada, niż do zdrowego człeka. Szli do miasta, bo w Pognębinie nie mogli służby znaleźć. Deszcz padał, baba szlochała okrutnie z żalu po straconej chałupie i całej wsi. Chłop milczał. Na całej drodze pusto było: ani wozu, ani człowieka; krzyż tylko wyciągał nad nią zmoczone od deszczu ramiona. Deszcz padał coraz większy, gęstszy, i ciemniało na świecie.

Bartek, Magda i Franek szli do miasta, bo zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu miał jeszcze w zimie odsiedzieć w kozie za sprawę Boegego.

Państwo Jarzyńscy bawili ciągle w Dreźnie.

SIELANKA

OBRAZEK LEŚNY

W lesie, w głębokim lesie, na obszernej polance, stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z krąglaków, mchem utykanych w spojeniach; obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana, krzywa, zapadła, z wodą pokrytą zieloną rzęsą.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motylów; między słonecznikami patrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różanem i lila, w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade, bo przygłuszone i siwymi liśćmi słoneczników i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej, w osobnych opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartoflanej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich cienkich prątkach, stojąca tak blizko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porosły dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwiał na dach, wówczas mogło się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu i gruchań i wabienia się i niby próśb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zerwał się szum skrzydeł, powietrze zaroiło się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt i szum i warkotanie sterówek. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał: to się rozpływał w błękicie, to błysnął pod słońce białemi pióry, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków, na szary, słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas, w blaskach powietrza, gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki róży, padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhowor pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, senniej, a wreszcie cichło wszystko — mrok padał z nieba na ziemię; chata, czereśnie i brzozy zacierały się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały mgłą, podnoszącą się z jeziora.

Około polanki bowiem, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednem miejscu i, idąc wdal nakształt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłókiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi kraniec jego prawie że ginął w oddaleniu, i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach, wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościołka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościołkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze, niby w zwierciedle, więc, zdało się, drugi las jest w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze; kiedy szumiał na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni, każda igiełka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko — w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie, za słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

W chacie mieszkał borowy, imieniem Szczepan, i córka jego, lat szesnastu dziewczyna, na imię Kasia. Była Kasia tem w tej chacie, czem zorza na niebie. Chowała się w niewinności wielkiej i w bojaźni bożej. Nieboszczyk stryjko, który czasu swego z różnych pieców chleb jadał, a na starość był organistą w sąsiednim kościołku, nauczył ją czytać na pobożnej książce, a czego stryjko nie douczył, tego douczyła ustroń leśna. Więc pszczoły nauczyły ją pracować, gołębie: jak być czystą, szare wróble: jak świegotać staremu ojcu wesoło, spokojna fala wyuczyła ją spokoju, pogoda niebieska — ziemskiej pogody, pobożny ranny dzwonek na kościołku — pobożności, a dobroć boża — dobroci ludzkiej.

I ojciec więc i Kasia wiedli żywot cichy i byli szczęśliwi, jak tylko w ciszy i ustroni leśnej można być szczęśliwym na świecie.

Raz, w wilię Zielonych Świątek, stary Szczepan przyszedł na południe do domu. Obszedł był kawał lasu, więc przybywał zmęczony, bo wracał z bajorów i kęp wilgotnych. Kasia zastawiła mu obiad, a po obiedzie, dawszy jeść psu i pomywszy misy i garnki, rzekła:

— Tatulu?

— A no?

— Pójdę do boru.

— Idź, idź. Niech cię spotka wilk, albo jaka inna gadzina.

— Pójdę po ziele. Jutro Zielone Świątki, trzeba będzie ziela do kościoła.

— A no!

Kasia naodziała się chustką na głowę, żółtą chustką malowaną w niebieskie kwiatki, i szukając jakiego koszyczka do ziela, poczęła śpiewać:

»Oj przyleciał sokoliczek, przyleciał siweńki!«

Stary jął marudzić dobrotliwie:

— Żeby ci się tak chciało robić, jak śpiewać!

Kasia, która wspięła się na palce, by zajrzeć na pólkę, odwróciła do ojca głowę, roześmiała się wesoło i, ukazując białe ząbki, śpiewała dalej, jakby się drażniąc:

»Huka w boru, szuka w boru, miłej kukaweńki!«

— Radabyś i ty sobie sokolika wykukała — mówił dalej stary. — Może tak sokolika od smolarni? Ale to głupstwa są. Śpiewaniem na kawałek chleba nie zarobisz.

A Kasia na to:

»Oj nie hukaj, sokoliku, nie szukaj, nieboże!
Jużci twoja kukaweńka na denku w jeziorze«.

— A niech tu tatulo zrobi obrządki — mówiła dalej. — Pod wieczerz wrócę, to jeszcze krowy wydoję. Ale trzeba je przygnać z dąbrowy.

Znalazła koszyk, pocałowała ojca w rękę i wyszła. Tymczasem stary Szczepan poszukał zaczętego więcierza i, wyszedłszy przed chatę, usiadł na przyźbie. Tu pozbierał sznurki, wziął iglicę, przymrużył jedno oko i próbował ją nawlec. Chybił na prawo, chybił na lewo, splunął, wreszcie, wycelowawszy dobrze, trafił, nawlókł i począł nizać sieć.

Ale od czasu do czasu spoglądał jeszcze na Kasię. Kasia szła lewym brzegiem jeziora i na wysokim zrębie brzegu widna była, jak na obrazku. Biała jej koszula, czerwona w paski spódniczka i żółta chustka migały zdala pstro, niby kwiatek. Skwar był, choć wiosna, nieznośny.

Uszedłszy z pół wiorsty od chaty, skręciła w bok i weszła w bór. Godzina była popołudniowa, gorąco na świecie, ale w lesie chłodno. Kasia szła ciągle przed siebie, nagle zatrzymała się, uśmiechnęła i zarumieniła się, jak wiśnia.

Przed nią, na ścieżce, która niknęła w głębi lasu, stał młody, może ośmnastoletni chłopak.

Młody ten chłopak był to smolarz, ze skraju boru, idący właśnie do Szczepanowej chaty.

— Niech będzie pochwalony! -- rzekł smolarz.

— Na wieki wieków.

Kasia zamilkła, tylko oczy tarła ze wstydu, a potem, podniósłszy fartuszek, przysłoniła nim twarz, spoglądając z pod rąbka z uśmiechem w twarz smolarza.

— Kasiu?...

— Co, Jasiu?

— A jest tatulo doma?

— Jest.

Smolarz, nieboże, może i nie o tatula chciał spytać, ale się jakoś zaląkł i mimowoli spytał o tatula. Zamilknął więc znowu, czekając: czy Kasia nie ozwie się pierwsza do niego, a Kasia stała tylko i kręciła końce fartuszka, zasromana okrutnie.

Aż wreszcie przemówiła:

— Jasiu...

— Co, Kasiu?

— A to smolarnia dziś nie dymi?

I ona chciała spytać o co innego.

— Co nie ma dymić? Smolarnia nigdy nie staje. Zostawiłem przy niej kulawego Franka, ale ty, Kasiu, wykręcasz coś, jak lis, na smolarnię.

— E! bo ja idę po ziele.

— Pójdę z tobą, a jeśli z powrotem nie odpędzisz, to i do chaty.

— Miałabym zaś odpędzać!..

— Jeśli nawidzisz, to nie odpędzisz, a jeśli nienawidzisz, to odpędzisz. Rzeknij, Kasienko, słówko: czy mnie nawidzisz?...

— Dolo moja! dolo! — i Kasia przysłoniła twarz rękoma. — Co ja mam rzec! Nawidzę cię, Jasiu; srodze cię nawidzę — wyszeptała po cichu.

A potem, nim smolarz zdołał jej odpowiedzieć, zawołała, odsłoniwszy zarumienioną twarz i oczy:

— Pójdźmy po ziele, pójdźmy co duchu!

Poszli więc, smolarz i Kasia. Miłość z nich biła promienista, ale te dzieci boże nie śmiały mówić już o niej. Czuły ją tylko, choć same nie wiedziały, co czują. Kłopotliwie im było jakoś, ale błogo. I nigdy im tak cudnie nie śpiewał szumem las nad głowami, nigdy oddech wiatru nie zdał się tak słodki i pieściwy, ani im kiedykolwiek szum boru, szmer wietrzyka, głosy ptaków i owe gwary leśne nie zdały się taką kapelą anielską, słodką, choć ogromną, jako właśnie w tej chwili, tak kłopotliwej, a pełnej nieświadomego szczęścia.

O święta siło miłości, jakimże ty jesteś dobrym aniołem życia, jakąż różaną zorzą w pomroce, jakąż tęczą na zapłakanych chmurach niedoli!

A tymczasem w boru rozległo się dźwięcznem echem od sosny do sosny szczekanie psa, i po chwili przybiegł Burek, który, wymknąwszy się z chaty, gonił tropem za Kasią. Przybiegł zziajany, z radością wielką skoczył ogromnemi łapami na Kasię i na smolarza, a potem spojrzał na jedno i drugie swemi mądremi i łagodnemi oczyma, jakby chciał rzec:

— Widzę, że się kochacie! To dobrze!

I począł kiwać radośnie ogonem, potem puścił się wielkim pędem, zataczając większe i mniejsze koła, wreszcie zatrzymał się, szczeknął raz jeszcze radośnie i ruszył w las, oglądając się od czasu do czasu na chłopaka i dziewczynę.

Kasia przyłożyła rękę do czoła i, spojrzawszy w górę, między liście, na jasne słońce, rzekła:

— O dla Boga! A toż już słońce ze dwie godziny popołudniu, a ziela niema ani kruszyny. Idź ty, Jasiu, w lewo, a ja pójdę w prawo, i zbierajmy. Trzeba nam się śpieszyć, na miły Bóg.

Rozłączyli się i poszli w las, ale szli niedaleko od siebie i równolegle, tak, że jedno drugiemu nie schodziło z oczu. Na paproci, jakby na zielonej fali, między sosnami, migała pstra spódniczka i żółta chustka Kasi. Smukła dziewczyna zdawała się płynąć wśród jagodzisk, mchów i paproci, rzekłbyś: wila jaka, albo rusałka leśna; co chwila schylała się i prostowała znowu, i tak dalej i dalej, mijając sosny, szła w bór coraz gęstszy, niby jakie zjawisko leśne.

Czasem, przysłoniona krzakiem leszczyny lub choiną, znikała smolarzowi z oczu; wtedy ten stawał. przykładał ręce do twarzy i nawoływał wielkim głosem:

— Hoop, hoooop!

Kasia, dosłyszawszy, stawała z uśmiechem, i udając, że niby nie widzi smolarza, a szuka, odpowiadała cienkim, srebrzystym głosikiem:

— Jasiu!!

A echo na to:

— Jaaaasiu!

Tymczasem Burek zwietrzył na drzewie wiewiórkę, więc stanął przed pniem, podniósł oczy i paszczę w górę i począł szczekać. Wiewiórka, siadłszy na gałęzi, nakryła się figlarnie ogonkiem, podniosła łapki do pyszczka, i trąc nosek, zdawała się grać palcami na nim i żartować sobie z gniewu Burka. Kasia, ujrzawszy to, roześmiała się dźwięcznym, srebrzystym śmiechem, smolarz za nią, i tak też pełno było w lesie gwaru i nawoływań ludzkich — i echa — i śmiechu — i radośnego wesela.

Czasem, chwilami, zapadała cisza, tylko zagadał szumem bór, wietrzyk zabrzęczał w listki paproci, zaskrzypiały stare konary sosny — i cisza!

Wówczas to słychać było wyraźnie miarowe uderzenia dzięcioła: »Kuj-kuj-kuj, ko-wa-lu!« Zdawało się, że niby ktoś stuka do jakichś drzwi, i za chwilę tajemniczy głos leśny zapyta:

— Kto tam?

To znów zaświstała słodkim głosem wiewilga; dudek najeżył złotą koronę na głowie i roztworzywszy, długi jak igła, dziobek, krzyknął: »hu! hu! hu! hup, hup!« W leszczynach klaskały makolągwy, zielone sikorki wiły się między zielonymi liśćmi; czasem na wierzchołku sosny załopotała w czarne skrzydła, kryjąca się przed upałem do boru, wrona.

Godzina była popołudniowa, pogoda przejasna, bez chmurki, a nad zieloną kopułą liści rozciągała się błękitna kopuła niebios — ogromna, bezbrzeżna, siwa na krańcach, najbłękitniejsza w środku. Na niebie stało wielkie złote słońce, przestworze było zalane światłem, a powietrze tak jasne i przezroczyste, że najodleglejsze przedmioty występowały z siwiejącej dali, wyraźne oku i zwarte w kształtach, a nie mgliste. Z wysokości nieba dobrotliwy Stwórca ogarniał okiem całą krainę: na polach kłaniało mu się zboże złocistą falą, szeleścił ciężki kłos pszeniczny, cienkie źdźbła owsa drżały, niby dzwonki i dzwoneczki. W powietrzu, przesyconem blaskiem słonecznym i błękitem, płynęła tu i owdzie wiosenna nitka pajęczyny, błękitna od błękitu, a złota od słońca, prawdziwe przędziwo z kądzieli Bogarodzicy.

Pomiędzy łanami zbóż, we wklęsłych dolinach, zieleniły się ciemną runią łąki; tu i owdzie, gdzie w murawie dyszało źródło, tam i zieloność była jaśniejsza, a cała łąka, pokryta żółtymi kwiatami kaczeńca, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach ciemniały olchy, od których wiało chłodem i wilgocią.

W lesie jednak, między sosnami, gorąco już było i cichość wielka. Zdawało się, że całą krainę ogarnęła jakaś senność i omdlenie. Po chwili ustał powiew wietrzyka, a wówczas i lasy i zboża i trawy stanęły nieruchome. Liść zwieszał się na drzewach, niby ukołysany do snu; ucichł gwar ptaków i nastąpiła chwila spoczynku. Ale był to spoczynek jakby z nadmiaru słodyczy, niby rozmarzenie się natury. Tylko wielka kopuła niebieska zdawała się uśmiechać, a gdzieś wysoko, wysoko, w niepojętych głębinach błękitu, Bóg wielki radował się dobrotliwie radością pól, lasów, łąk i wód.

Tymczasem w lesie smolarz i Kasia błądzili nieustannie, zbierając zioła, śmiejąc się lub gwarząc wesoło. Człowiek prosty, jak ptak: śpiewa, kiedy może, bo to jego natura. Smolarz zaczął śpiewać prostą a tęskną piosenkę.

Ostatnie słowo piosenki ciągnie się, wedle jej melodyi, długo, żałośnie, i tak też długo i żałośnie ciągnęli je smolarz i Kasia, a do wtóru im śpiewało echo w ciemnych głębiach borowych; sosna podawała odgłosy sośnie — i piosenka, poczęta słowami, przebiegłszy szeregi pni drzewnych, kończyła się w dali leśnej westchnieniem, coraz niewyraźniejszem, lżejszem, słabszem, a w końcu ciszą.

Potem znowu Kasia zaśpiewała weselszą piosenkę, poczynającą się od słów: »Zostanę ja się złotym pierścieńcem!« Dzielna to piosenka! Młoda, oporna dziewczyna kłóci się w niej ze swym kochankiem i opowiada sposoby, przez jakie się mu wymknąć zamierza. Ale niemasz na niego rady! Gdy ona zapowiada, że zostanie złotym pierścieńcem i będzie się toczyć szarym gościeńcem — on grozi, że swemi bystremi oczyma dojrzy pierścień na szarym gościńcu; gdy ona chce zostać złotą rybką w fali — on jej śpiewa o siatce z jedwabiu; gdy ona dzikim kaczorem na jeziorze — on staje przed nią strzelcem. Aż wreszcie biedna dziewczyna, widząc, że nie skryje się przed nim na ziemi, śpiewa:

»Zostanę ja się gwiazdką na niebie,
Będę świeciła ludziom w potrzebie —
Twoją miłą nie chcę być,
Twojej woli uczynić.«

Ale niezrażony niczem chłopak odpowiada:

»Pokłonię ja się w kościele ładnie,
Dam na mszę świętą, to gwiazdka spadnie —
Moją miłą musisz być,
Moją wolę uczynić.«

Dziewczyna widzi, że niema dla niej ratunku ani na ziemi, ani na niebie, więc godzi się z wolą Opatrzności i śpiewa:

»Widzę, ja widzę, że boże sądy,
Kędy się skryję, znajdziesz mnie wszędy —
Twoją miłą muszę być,
Twoją wolę uczynić.«

— A widzisz, Kasiu? — rzekł smolarz.

— Co, Jasiu?

On począł śpiewać:

— »Moją miłą musisz być,
Moją wolę uczynić.«

Kasia zawstydziła się znowu, ale roześmiała się i, chcąc zagadać, odrzekła:

— Nazbierałam już moc ziela: rozchodniku, maszerdonu, macierzanki i rosicy. Jenoby trzeba w wodę zanurzyć, bo do wieczora, na upale, zwiędną...

Istotnie, upał był wielki, a wiatr ustał zupełnie. W lesie, choć w cieniu, powietrze drgało parnem gorącem, sosny roniły silną woń żywiczną. Delikatna, złotawego odblasku, twarz Kasi była wilgotna, a modre jej oczy świeciły zmęczeniem. Zdjęła z głowy chusteczkę i poczęła się chłodzić, smolarz tymczasem odebrał z rąk jej koszyk z zielem i rzekł:

— Słuchaj, Kasienko. Olchy stąd o dwie staje, a między olchami krynica. Pójdź, Kasieńko, napijemy się wody.

Poszli oboje. Jakoż istotnie, po niejakim czasie, grunt leśny zaczął się pochylać; między drzewami, zamiast borówek, paproci i suchych mchów, zazieleniała wilgotna murawa, zjawiła się jedna olcha i druga, za niemi całe szeregi. Weszli w ciemny, wilgotny gaj, gdzie promień słoneczny, przechodząc przez liście, sam nabiera ich barwy i maluje bladem zielonem światłem twarze ludzkie. Jaś i Kasia zstępowali coraz niżej w cień i wilgoć. Owionął ich surowy chłód, miły po leśnym upale — i po chwili, między szeregami olch, ujrzeli w czarnym, torfiastym gruncie wijącą się, głęboką strugę wody, gdzieniegdzie zarosłą tatarakiem, trzciną, lub pokrytą wielkimi krągłymi liśćmi lilii wodnych, które my »nenufarami«, ludzie zaś prości »bieluszkami« nazywają.

Śliczne to było miejsce, ciche, ustronne, cieniste, nawet potrochu ciemne.

Przezrocza struga wodna wiła się między drzewami. Nenufary, kołysane lekkim ruchem wody, chwiały łagodnie białem kwieciem; pochylając się ku sobie, zdawały się całować; nad szerokimi ich liśćmi, leżącymi niby tarcze na powierzchni wody, wiły się w powietrzu ciemnoszafirowe koniki, o skrzydłach szerokich i szeleszczących, a tak delikatne i wątłe, że słusznie je wodnemi panienkami nazywają; czarne motyle z białą, żałobną obwódką, siadały na ostrzach tataraku. Na rudawem tle torfu kwitły błękitne niezapominajki; tu i owdzie szumiała kępka wysmukłej trzciny, na której powiew wiatru wygrywa zwykle piosenki. Po brzegach rosły posępne krzaki kaliny, a pod krzakami pstrzyły się główki konwalii, przylaszczek i dzwonków wodnych; biedrzenica zwieszała białe główki ponad przezroczystą wodą; srebrne niteczki ostrożków, wyciągnięte z biegiem strumienia, plątały się niby w cienkie a długie warkocze; zresztą — samotność — ot! ustroń dzika, zapomniana przez ludzi, spokojna a zaludniona tylko przez światy ptaków, kwiatów i owadów.

W takiej to ciszy mieszkają zwykle nimfy, rusałki i inne złe lub dobre bóstwa leśne. To też, kiedy idąca przodem Kasia stanęła pierwsza na brzegu i spojrzała na wodę, w której odbiła się jej wdzięczna, wysmukła postać, to istotnie mogła się wydać takiem ślicznem objawieniem leśnem, jakie czasem widują gajowi w borach, albo flisacy, płynący wśród lasów z wiciną. Była bez chustki na głowie, wiatr rozwiał trochę jej warkocze i poruszał promieniami włosów na czole. Opalona była a jasnowłosa, i tylko oczy miała śmiejące się a modre, jak chaber i takież śmiejące się usta. Przytem wysoka i smukła, zupełnie rusałczana dziewczyna! Niktby nie przypuszczał, że spłoszona okiem, nie skoczy do wody, nie rozwieje się we mgłę, w tęczę lub promienie, nie zmieni się nagle w lilię lub kalinę, która, gdy chcesz zerwać jej kwiaty, mówi ludzką, choć do szmeru drzewnego podobną mową:

— Nie rusz mnie!

Kasia pochyliła się z murawy nad wodą, aż jej warkocze spadły na ramiona, potem zwróciła się do smolarza i rzekła:

— A jakże pić będziemy?

— Jak ptaki — odpowiedział smolarz i pokazał jej palcem kilka pliszek i ślicznych jak tęcze zimorodków, które piły opodal, zadzierając dzióbki do nieba.

Ale smolarz umiał sobie poradzić lepiej niż ptaki, bo urwał ogromny liść bieluszka, skręcił go w rożek, i nabrawszy wody, podał Kasi.

Napiła się Kasia, napił się i smolarz, potem ona rwała jeszcze niezapominajki, on zaś wydobył nożyk, naciął pręt wierzbinowy i począł wykręcać fujarkę.

Wkrótce fujarka była gotowa. Smolarz przyłożył ją do ust i zagrał taką prostą piosenkę, jakie pastuchy grywają wieczorami po łąkach. Łagodny głos rozpłynął się z niewymowną słodyczą w ustroniu. Po chwili smolarz odjął od ust fujarkę i począł jakby słuchać, jakby chwytać uchem echo, grające w olchach, a zdawało się, że razem z nim słucha tego głosu i przejasna struga — i ciemne olszyny — i ptaki, ukryte po trzcinach. Ucichło wszystko, ale po chwili, niby odpowiedź, niby wyzwanie, ozwało się lekkie gwizdnięcie, za niem drugie i trzecie. Stało się jeszcze ciszej. To słowik chciał śpiewać, słowik wyzywał fujarkę.

Wnet też i począł śpiewać. Słuchało wszystko tego śpiewaka bożego. Bieluszki podniosły głowy nad wodę, niezapominajki przytuliły się do siebie, przestały szemrać trzciny, nie śmiał się ozwać żaden ptak, tylko niemądra a roztrzepana kukułka przyleciała z nad wody cichem skrzydłem, siadła na sęku, podniosła główkę, roztworzyła szeroko dzióbek i ozwała się lekkomyślnie:

— Ku-ku! ku-ku!

Ale potem snadź sama zawstydziła się, że się tak głupio wyrwała, bo nagle zamilkła.

Napróżno Kasia, stojąc na brzegu strumienia, z niezapominajkami w ręku, odwróciła się w stronę, skąd dolatywał głos kukawki, i pytała:

— Kukaweńko, siwa kukaweńko, długo ja żyć będę?

Kukawka na to nic.

— Kukaweńko, będę ja bogata?

Kukułka nic.

Więc smolarz:

— Kukaweńko, szara kukaweńko, prędko będzie moje wesele?

Kukawka nic.

— Nie chce nam odpowiadać — rzecze smolarz. — Wróćmy do boru.

Wróciwszy, odszukali wielki kamień, przy którym zostawili koszyk i suche zioła. Kasia siadła pod nim, na mchu, i poczęła wić wianki, a smolarz jej pomagał. Burek położył się koło nich, wyciągnął przed się kosmate łapy, wywiesił język i począł oddychać ze zmęczenia, rozglądając się uważnie wokoło, czy nie dojrzy jakiego żywego stworzenia, na które mógłby się rzucić i narobić hałasu. Ale w lesie naokół było spokojnie. Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwieńsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkiemi, złotemi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igiełki, inne gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i ówdzie mała czarna pszczółka leśna, i śpiewając radośnie zwykłe: »dana, oj dana!« dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ćmy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka; komary poczęły żałosną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzióby kos, lub załopotały skrzydłami wrony, które, obsiadłszy jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe listki do góry; król dąb pomruknął zcicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza. Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieńszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski — więc już i wszystkie szmery leśne zlały się w poważne i ciche, choć ogromne, chóry — to bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę bożą i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiaździstą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na lądach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszymi złotymi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojcze nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem, posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osiczyna drży lękliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lękliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las, i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg!

O takiej chwili słońce zanurza promienną głowę w dalekie morza; rolnik przewraca pług ostrzem do góry i śpieszy do chaty. Powraca z pola ryczące bydło i w kołatki kołace; owce wzniecają tumany złotego kurzu. Potem mrok pada: w dalekiej wsi skrzypią żórawie od studni, potem błyskają okienka, i zdaleka, zdaleka, dochodzi szczekanie psów.

Ale gdy Kasia siadła pleść wianki pod mszystym kamieniem, słońce nie zagasło jeszcze nad lasem. Owszem promienie jego rzucały na twarz jej blaski, łamane cieniem liści i gałązek. Robota nie szła śpiesznie, bo Kasia zmęczona była upałem i bieganiem po lesie. Opalone jej ręce coraz wolniej kręciły sploty ziół. Ciepły wiatr całował jej skronie i twarz, a szum drzew kołysał ją, jak do snu. Duże jej oczy stawały się błyszczącemi sennie; powieki poczęły się zlekka przymykać; oparła głowę o kamień, jeszcze raz otworzyła szeroko oczy, jak dziecię, poglądające ze zdziwieniem na świat boży; potem szum drzew, szeregi pni, iglasty grunt leśny i niebo, widne przez gałęzie, pomąciły się przed nią, pociemniały, poczęły ziewać się i majaczyć — uśmiechnęła się i usnęła.

Głowa jej pogrążona była teraz w łagodnym cieniu; za to koszulka na piersiach, oblana światłem zorzy, świeciła cała różana i purpurowa. Lekki oddech kołysał jej piersi, a tak była cudna w tem uśpieniu i w tych blaskach wieczornych, że smolarz patrzył się w nią tak, jak patrzył tylko na obrazy w kościele, całe od złota błyszczące i jak tęcza barwiste.

Ręce Kasi trzymały jeszcze niedokończony splot ziela. Spała widać snem lekkim i miłym, bo uśmiechała się przez sen, jak dziecko, co rozmawia z aniołami. Może też i rozmawiała z aniołami, bo czysta była, jak dziecko, i Bogu dziś służyła dzień cały, wijąc wianki na jutro do kościoła.

Smolarz siedział koło niej, ale nie spał. Rozpierało uczucie jego pierś prostaczą, czuł jakby dusza dostawała mu skrzydeł i gotowała się ulecieć w przestworze niebieskie. A hej! hej! sam nie wiedział, co się z nim dzieje, więc oczy tylko utkwił w niebie i rzekłbyś: skamieniał z kochania.

I długo jeszcze spała Kasia, i długo siedzieli tak oboje. Tymczasem zmroczyło się. Resztki purpurowego światła walczyły z cieniem. Wnętrze lasu pociemniało, głuchło. Ze trzcin jeziora, od strony chaty i polanki, doszło nocne hukanie bąka.

Nagle, za jeziorem, w kościołku, zadzwoniono na Anioł Pański. Głos leciał nad spokojną tonią jeziora, leciał na skrzydłach wieczornego powiewu, czysty, dźwięczny i donośny. Sygnaturka wzywała wiernych do modlitwy, a zarazem zwiastowała spoczynek: »Dość trudów i znoju, — mówił dzwonek — owińcie się do snu skrzydłem bożem. Pójdźcie, pójdźcie, zmęczeni, do Boga: w nim radość! Tu cisza, tu wesele, tu sen! Tu sen! tu sen! tu sen!«

Smolarz zdjął kapelusz na odgłos dzwonka, Kasia otrząsnęła sen z oczu i rzekła:

— Dzwonią?

— Na Anioł Pański...

Klękli oboje przy omszałym kamieniu, jakby przy ołtarzu. Kasia poczęła mówić łagodnym, smutnym głosem:

— Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Maryi...

— I poczęła z Ducha Świętego — odpowiedział smolarz.

— Oto ja służebnica Pana mego......

. . . .

I tak klęcząc, modliły się te boże dzieci. Cicha, letnia błyskawica przeleciała między wschodem a zachodem, i po świetle jej zsunął się z nieba rój aniołów skrzydlatych i zawisnął nad głowami tych dwojga. A potem pomieszali się z aniołami i sami byli prawie jak anieli, bo nad te dwie dusze nie było jaśniejszych, czystszych i bardziej niewinnych na ziemi.

Z WRAŻEŃ WŁOSKICH.

NERVI.

Może być w każdym opisie rzeczy i krajów, choćby najbardziej znanych i omówionych, coś takiego, czego nie było w poprzednich, mianowicie: nowy i odmienny stosunek oczu i osobistej duszy do otaczającego świata. Każdy kto był we Włoszech, niechybnie zostawił w nich część duszy, każdy natomiast ma w sobie ich widzenie, jakby swoją osobistą Italię, i tem się tłómaczy zjawisko, dlaczego, mimo dzieł naukowych, wyczerpujących, mimo artystycznych opisów, kreślonych przez genialne pióra, powstają ciągle nowe opisy, nowe szkice, nowe wspomnienia.

Niech to tłómaczy i te moje, których zażądaliście ode mnie, a które powstają między jednym a drugim rozdziałem »Połanieckich«, trochę dla rozerwania myśli, trochę dla wypoczynku, trochę dla rozproszenia tego smutku, którym napełnia się świerkowy las zakopiański w dni długie, a szare i dżdżyste.

Dziwnie, raz w życiu, spotkałem się ze słynnym poetą czeskim, Vrchlickim. Było to w późną noc, na praskim Przykopie, przy księżycu. Zamieniliśmy kilkanaście słów, rozeszli się i nie zetknęli więcej. Lecz w rok lub we dwa później, doszedł mnie tom poezyi Vrchlickiego, w których znalazłem echo tego spotkania: »Tyś jest jak obłok, — mówi do mnie Vrchlicki — który wiatr nosi po szerokim świecie, a ja, jak czeska chata, patrząca okienkami na zawsze jednaki widnokrąg«. — I rzeczywiście, odmienne są nasze losy: istotnie jestem, jak obłok, który wiatr nosi, czasem aż do umęczenia. Ostatnim razem przepędził mnie nad Włochami — więc, co można było ujrzeć i spamiętać w przelocie — to wam posyłam — na żądanie.

Zatem trochę mórz, widzianych w blasku słonecznym, lub w zorzach, i nieco żagli rybackich, i dużo słońca, i dużo cienia z oliwnych ogrojców, i kilka okruchów z grobowców, widzianych na różnych *„campo santo“* — i nieco wrażeń rzymskich — i nic więcej. Jeśli to wszystko rozjaśni wasze kartki, tem lepiej dla was i dla mnie.

O Nervi ledwie kto u nas słyszał. Pegli, San-Remo, Mentona, Monte-Carlo i Nizza, leżące z tamtej strony Genui, przed i za pograniczną Ventimiglią, roją się od chorych, ratujących resztki zdrowia, i od hulaków, tracących resztki mienia —

tu jeszcze niewiele osób przyjeżdża: najwięcej Niemców i trocha Anglików. A jednak przyjazd tu łatwy. Ledwie kilka małych stacyi, nawet bez innych nazw, prócz cyfr porządkowych, dzieli Nervi od Genui. Po półgodzinnej jeździe w wagonie, jest się na miejscu, a droga, choć tak krótka, daje już pojęcie o tej Rivierze »di Levante«, która, ogólnie biorąc, może z tamtą »di Ponente« iść śmiało w zawody.

Lecz lepiej jeszcze jest jechać z Genui powozem. Więcej się widzi, a strata czasu niewiele większa. Wprawdzie w początku następuje nieco rozczarowania. Chciałoby się prędko wyjechać z miasta, zobaczyć szerszą przestrzeń i morze, a tu pospolita ulica genueńska ciągnie się i ciągnie; wysokie domy, zakrywające morze, zdają się przedłużać bez końca. Sklepy, jak zwykle na krańcach miasta, nędzne, ludność szara, portowa, bez wybitnego typu. Tu i owdzie trochę bielizny i kolorowych szmat na sznurach; w przerwach ulicy puste i zapylone place, tu rusztowania nowo wznoszonych kamienic, tam szopy drewniane niewiadomego przeznaczenia — i znów szeregi domów z wązkim pasem nieba u góry, — oto co się widzi przy wyjeździe.

Lecz zwolna bruk uliczny zmienia się w zbitą, pełną kurzawy drogę, po której zaprzężone w jeden za drugim muły ciągną przy odgłosie dzwonków i biczów ciężkie dwukołne wozy; domy przerywają się, rzedną, widnokrąg się rozszerza. Po bokach widać, zamiast kamienic, stare mury ze zrębem, przybranym w kaktusy, w bluszcz, w powoje, w winograd lub przypołudniki[1], których trójgraniaste liście, zwieszone w pękach na zewnątrz, wydają się jakby wielkie grona, przetykane żółtem, albo liliowem kwieciem.

Po chwili widnokrąg jeszcze szerszy. Wszędy pełno murów i tarasów. Na stokach wzgórz, wśród czerni cyprysów, wśród palm, podobnych do strusich piór, lub wśród pinii, bieleją wille; na trawnikach przed niemi grają fontanny. Na dalszych wzgórzach domy i domy, poprzyczepiane wszędzie, ponalepiane, jak gniazda mew, lub jaskółek, pojedyńczo, lub po kilkanaście razem. Gdzieniegdzie świeci odrapana chata wiejska, pomalowana czerwono lub różowo, z nieodłączną bielizną i chustkami na sznurze, które porusza wiatr, ale które tu już grają w słońcu. I znów mur, przez który kipi zieloność, znów winograd, gaje cytryn, pomarańcz, szare i srebrne oliwniki, pinie, rzucone zuchwale ze szczytów urwisk w błękit, jakby ręką biegłego artysty, jabłonie, pokryte kwieciem, jak śniegiem, różowe migdały, brzoskwinie i wszędy powódź laurów.

---

[1] Mesembryanthemum.

Wpoprzek drogi suche łożyska potoków, zasypane żwirem, wąwozy, przez które ciagnie wiatr, pachnący morzem, mosty, nasypy, czarne otwory tunelów lub olbrzymie łuki wiaduktów, po których przelatują ze świstem i chmurą dymu pociągi. Kraj zgiełkliwy, rojny, jakby nadto zastawiony, wyglądający, jak przeładowana sprzętami izba — i przez to ciasny. Ma się wrażenie, że tu wszystkiego za dużo, i oczy, przywykłe do jednostajnych płaszczyzn i jednostajnych barw w krajobrazie i do wielkich głębin powietrznych, tęsknią mimowoli do czegoś, na czemby się mogły oprzeć i w czemby się mogły zatopić najdłużej. Wydaje się bowiem, że niema tu jakiejś nuty ogólnej, w której zlewają się rozdźwięki, że tu jest jakiś niepokój, że nic nie może ukoić się i usnąć, jak naprzykład śpi czasem w jasne południowe godziny las sosnowy — i wreszcie, że ten kraj nie ma duszy poważnej i zamyślonej.

Lecz to są pierwsze wrażenia. Mijamy Bisagno i szereg przylądków, tworzących po prawej stronie drogi jakby wspiętą falę kamienną, która zasłania dalszy widok — i oto Sturla. Znów koła powozowe turkocą po kamiennych płytach i wysokie domy zwierają się w wązką uliczkę. Ale trwa to krótko. Sturla urywa się nagle, i otwiera się widok na morze.

Droga idzie szczytem wyniosłego wiszaru, u którego stóp pieni się fala. Zdaje ci się teraz, że oddychasz swobodniej i szerzej, i że ktoś przebił olbrzymie okno w krajobrazie na przestrzeń, na powietrze, na spokój i jasność toni błękitnej, równej, nieskończonej. Przeładowany mnogością przedmiotów i skrępowany ciasnotą widnokręgu, wzrok byl jakby ptak, zamknięty w klatce — teraz może lecieć, jak mewa, między wodą a niebem, póki mu siły stanie.

A przytem morze ma i powagę, i zamyślenie — dziwne, zarazem słoneczne i błękitne. Przed chwilą jeszcze zdawało się nam, że kraj ten nie zdoła nigdy zasnąć, a teraz, gdy wiatr cichnie, morze śpi pod stopami wiszaru, ciche, jednostajne, ogromne, przykryte blaskiem, który, drgając jaskrawo na topieli, wydaje się jej snem.

Od Sturli traci się morze tylko chwilami z oczu, wówczas, gdy je przysłonią albo urwiska Quarto, palmy i pinie Quinto, albo wreszcie domy Nervi. Ciągną się tu te domy, jak i w innych nadbrzeżnych miasteczkach, podwójnym szeregiem, tworząc jedną, na kilka kilometrów długą, ulicę. Lecz Nervi jest większe i okazalsze od poprzedniej Sturli lub następnego Recco. Lepiej osłonione od innych miejscowości stokami góry Giugo, wybrane zostało na stacyę klimatyczną, napływ cudzoziemców ożywił ruch handlowy i dał większe widoki zarobku, skutkiem czego i ludność nagromadziła się liczniej. Słodycz klimatu Nervi musiała zresztą już dawniej zwrócić na siebie uwagę, skoro możne rodziny genueńskie rade budowały tu wille i domy letnie. Wszystkie te wille leżą od strony morza i spływają ku niemu cienistą i kolorową rzeką palm, pinii, eukaliptusów, cyprysów, pomarańcz, cytryn, bzów i róż. Między ogrodami są wązkie uliczki, dające przystęp do brzegu. Boczne ich ściany stanowią mury ogrodowe; gałęzie rozmaitych drzew, wystając z jednej i drugiej strony i łącząc się z sobą w wielu miejscach nad uliczką, tworzą nad nią jakby rodzaj sklepienia. Słońce też nie oświeca prawie nigdy tych przejść, w których panuje wieczny cień, chłód i wilgoć, i z których wychodzi się na pełne światło morskiego brzegu, jakby się wyszło z ciemnego klasztornego kurytarza.

Niektóre wille, jak Gropallo, Serra lub Croce, ukryte wśród starych pinii, pełne pogody i wdzięku w liniach, z bramami, na których ubiegłe lata wycisnęły już piętno, podnoszą włoski charakter miasteczka i przywodzą na myśl patrycyuszowską przeszłość genueńską razem ze wspomnieniami dawnej potęgi, dawnego bogactwa, artyzmu i sławy. Inne, nowe, jak willa Ponzone, odbijając niepokojem stylu nowożytny niepokój i eklektyzm, psują ogólną harmonię i rażą kształtami, godnymi pagody, wykwintne uczucia oczu i dusz wybranych. Lecz i tu natura naprawia błędy człowieka. Bujne eukaliptusy, strzelają w górę, nakształt gotyckich wieżyczek, zasłaniają nielad architektonicznych linii, a za lat kilka zasłonią go zupełnie. U spodu budynku srebrzą się oliwki, złocą pomarańcze i płyną potoki kamelii, białych, czerwonych, różowych, podobnych do stad barwnych motyli, lub do kolorowych gwiazd, ponabijanych w ciemną zieleń.

Willa Ponzone ma i tę zasługę, że otwierając swoje bramy dla gości leżącego naprzeciw hotelu Eden, ułatwia im przystęp do morza. Za tylnymi murami ogrodów jest tu wysoka krawędź skalista, na której urządzono miejsce przechadzki dla gości. Morze leży o kilkanaście metrów niżej od tej krawędzi. Wiatr dochodzi do niej z trudnością, bo wysokie mury bronią przystępu, kurz nigdy, bo od ulicy dzieli ją cała szerokość ogrodów. Za to słońce świeci tu i grzeje od rana do wieczora. Miejsce jest wązkie, ale ciepłe i zaciszne. Z tyłu mur, z przodu morze, dzikie rzuty skał, wbiegające w toń, tu i owdzie schodki powykuwane w skale, wiodące na dół; domek celniczy, wieża willi Gropallo, w której niegdyś strażowano od rozbójników morskich, na północ zarysy Riviery »di Ponente«, zakryte mgłą siną i różową, z drugiej strony Recco, błyszczące w świetle, i morze — oto wszystko, co stąd można zobaczyć.

Wszystko to jednak takie jest włoskie, takie pobrzeżne i morskie, takie skąpane w świetle i błękicie, że oczu od tego oderwać trudno. Tu też skupia się życie Nervi; tu przesiadują przejezdni i chorzy; tu, w szerszych miejscach, rozkładają przekupnie swoje stragany, napełnione »tartarugą«, wyrobami z małżowin i z oliwnego drzewa, koralami i delikatnymi filigranami ze srebra. Na innych sprzedają jedwabie, lub wielkie chusty z perkalu, malowane w kwiaty i drzewa. Bose dziewczątka o rozczochranych czuprynach i czarnych oczach, częstują cudzoziemców gałązkami bzu, pęczkami fiołków, konwalii, lub anemonów. Z dołu zapraszają do łodzi rybacy. Niektórzy goście snują się u stóp krawędzi po głazach. Czasem z Genui przyjeżdżają nowe zaślubione pary i, siadłszy zdala od ludzi, ze wspartemi o siebie głowami, topią oczy w bezmiarach morskich, czyniąc na resztę życia zapas wspomnień świetlanych i błękitnych. A morze szumi im i przybiega łagodnie aż do ich nóg. Ostatecznie morze jest duszą Nervi — i nie wille, nie ogrody, nie palmy, nie gaje kwitnących cytryn, ani tęcza róż i kamelii — tylko ono stanowi największy jego urok. A nie we wszystkich miejscowościach, zwłaszcza nie wszędzie na Rivierze »di Ponente«, jest tak samo. W Pegli, w San-Remo, w Mentonie, w Monte-Carlo, Nizzy i Cannes, niema takiego skupienia się wyłącznie w morzu. Tam ciągnie człowieka za drugą rękę życie, jego przepych, jego zabawy; tu, gdy oddzielą cię od miasta te wysokie mury, spieczone słońcem, gdy znajdziesz się na owym wązkim zrębie skalistym, — pozostaje ci tylko morze i nic więcej. Ma się uczucie, jakby się było gdzieś na pełni, daleko od świata, wśród ogromów i na woli bożej. To też kto tu przyjdzie, brata się z morzem, uczy mu się oddawać, kochać je i nie potrafi związanych z niem wrażeń zapomnieć.

Bo godzi ono w sobie dwie cechy, na pozór sprzeczne. Jest wiecznie jednakie i wiecznie zmienne, więc i uspokaja nas i, zamiast nużyć, ożywia. Kto wie, czy dla głębszej duszy ludzkiej spokój w różnorodności nie jest czemś blizkiem szczęścia. Przesiadywałem w Nervi nad morzem po dniach całych, czułem wyraźnie, że wszystkie widoki, którem miał przed oczyma, więc czy to poranne, czy południowe, czy to wieczorne, mają jakąś jedną wspólną duszę, a jednak ani dwóch widoków, ani dwóch chwil nie widziałem podobnych.

Rankiem ton jest rzeźwa, przezroczysta, kryształowa i bardziej, niż w innych porach, ruchoma, jakby wypoczęta po śnie. Przy brzegach pachną mocno wyrzucone przez noc porosty. Po małych ostojach rybacy ładują lodzie, które mają wyruszać na pełnię; nad nimi kręcą się stada mew. Słońce, wznosząc się z za Giugo, rzuca coraz większe masy światła na oddalenie, podczas gdy bliżej, gdzie skośny promień słońca nie odrazu dochodzi, morze jest całe w pasy, szlaki, tak, jak gdyby mroki morskie, podobne do porozciąganych po wodzie welonów, nim je słońce ostatecznie zedrze, zaczepiały się jeszcze o fale. Po tych szlakach wędrują ku światłu białe żagle. Woda, u brzegu ruchoma, w dali jest tak gładka, że odbijają się w niej nietylko żagle, ale i kolorowe boki łodzi.

Lecz w miarę, jak słońce się wznosi, owe ciemniejsze szlaki rozpraszają się, giną, i morze przybiera aż do krańców jednostajną modrą barwę, nad którą wznosi się nieco bledszy, wydęty błękit nieba. W oddali widać wielkie parowce, idące z Genui, gdzieś ku Afryce. Żagle rybackie z Nervi i Recco zmieniają się w plamki świetliste, które, w miarę odległości, błękitnieją i zacierają się coraz bardziej.

W południe, jeśli wiatr napędzi chmur z za Giugo, po morzu włóczą się cienie, jakby złe albo posępne myśli. Jeśli pogoda się utrwali, a słońce pocznie dopiekać, fala staje się ociężałą, senną, a zarazem migotliwą. Wówczas to następuje chwila takiego pół-snu, pół-zamyślenia, o jakiej wspomniałem poprzednio. Zrąb skalny wyludnia się, cisza ogarnia wody, małe ostoje, i na całem wybrzeżu panuje południowe milczenie.

Lecz nic nie może porównać się z zachodami słońca w dni pogodne. Podobnej gry zórz nie widziałem nigdzie — tem bardziej zaś pod zwrotnikami, bo tam noc przychodzi nagle. Raz w taki dzień wyjechałem do kościołka San-Ilario, położonego w połowie góry Giuga. Morze, jakkolwiek odległe stamtąd o kilka kilometrów, wydaje się z powodu pochyłości bardzo blizkiem. Stanąwszy na małym tarasie przy kościołku, obejmowałem oczyma widnokrąg od Alp nadmorskich Riviery »di Ponente« aż do Portofino w drugą stronę. Nie było żadnego wiatru; cienkie gałęzie i liście oliwek zwieszały się nieruchomo. Wszędy wieczorny spokój. Tylko w kościołku dzwoniono na »nieszpór« i przez otwarte drzwi dochodziły głosy dzieci, śpiewające *Ave Maria.* Głosy te i dźwięk dzwonu rozbrzmiewały zarazem słodko i silnie i zdawały się lecieć z tej góry ku miasteczku i morzu, jak na skrzydłach. Ale po niejakim czasie, dzieci, skończywszy śpiewać, zaroiły się hałaśliwie przez chwilę na tarasie i znikły. Słońce zniżało się coraz bardziej, a wreszcie zanurzyło się w płomienistej wodzie. I z chwilą, gdy zaszło zupełnie, poczęły się odbywać jakby czary. Na niebie i morzu potworzyły się złote, różane i złoto-zielone smugi, taśmy, frendzle, jakby drogi i jakieś gościńce, którymi wędrowały fantastyczne okręty z ognia ku gmachom z tęczy, opalów, szmaragdów i chryzolitu. Fiolety, róże, purpura, złoto, wszystkie możliwe barwy, wszystkie blaski bengalskich ogni, drogich kamieni i pawich piór grały na niebie i wodzie. Potem jeden purpurowy ton wzmógł się nad inne, ogarniał je, przesłaniał, topił. Wreszcie i sam począł blednąć, omdlewać i zwolna zmieniać się w ton liliowy, i w coraz liliowszy, coraz bardziej nieuchwytny, mistyczny, doskonalszy, niemal nadziemski.

Stałem i patrzałem. Nie było teraz już widać ni morza, ni nieba, ni tej granicy, gdzie woda styka się z widnokręgiem — nie było widać nic, tylko jedną liliową nirwanę, łagodną, spokojną i kojącą jakiemś zaświatowem ukojeniem.

A potem przyszła noc.

Lecz noc nie usypia wspomnień, i kto taką liliową symfonię raz widział, tego pamięć wróci nieraz do niej — i dusza wróci.

KONIEC TOMU XIII.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

LP
S5724

486084
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.13

DATE